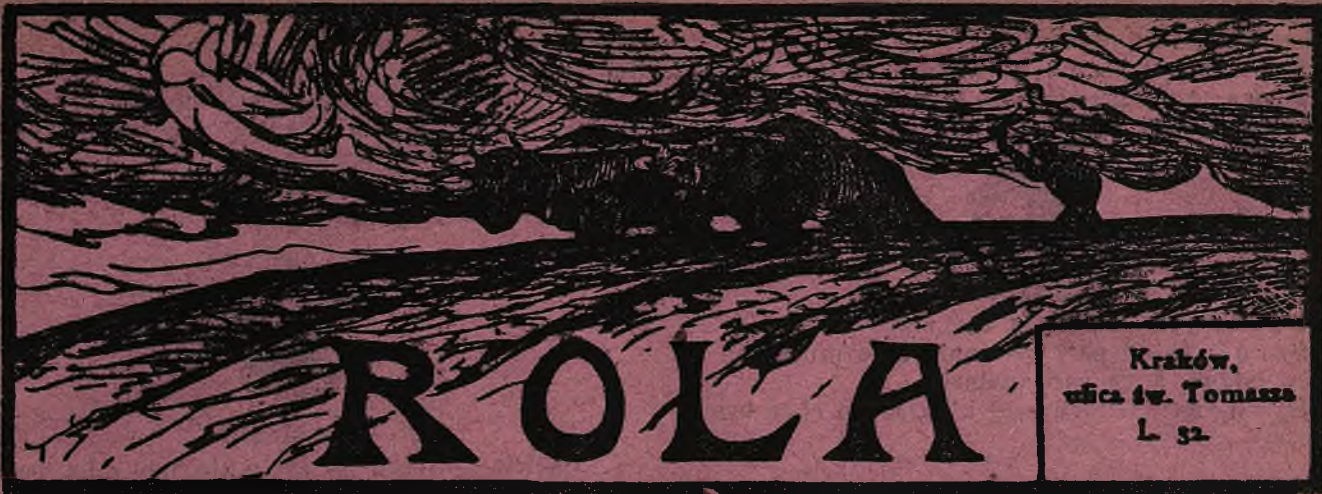
Numer 38. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 20 Września 1931



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dobrali się.

Żona do męża: Powiedz mi Jasiu, cobyś zrobił, gdybyś został wdowcem?

Mąż: To samo, co ty, gdybyś została wdową!

Żona: A, ty brzydaku, a mówiłeś zawsze, że nigdybyś się drugi raz nie żenił!

„Znalazł".

Student: Stróżu! ja coś znalazłem!

Stróż: Jeżeli pan coś znalazł, to musi pan na policji oddać. A co pan znalazł?

Student: Dziurkę od klucza, bo chcę bramę otworzyć.

Niezawodny zegar.

Kiedy do domu na noc wraca mąż,
A straszną minę zachowuje wciąż,
Gdy tchnie srogością każdy jego gest,
Dziesiąta jest.

Kiedy słodyczą powrót jego tchnie,
I na dobranoc żonie całus śle,
I mówi słodko: „droga, oczka zmróż!"
To północ już!

Lecz gdy się skromnie skrada niby kot
I w łóżko cicho pakuje się w lot,
Drżąc, by nie wyszedł z żony srogiej łask...
Już ranny brzask...

Odprawa.

W jednem miasteczku francuskiem rozwodził się pewien młody uczony nad obecną walką z Kościołem, aż wreszcie zakończy:

— Wtenczas dopiero będzie dobrze na świecie, gdy na tych miejscach, gdzie dziś stoją kościoły i klasztory, trawa porośnie.

— A takie osły, jak pan, pasać się na niej będą — dokończył stary obywatel.

„Nie głupi".

Maciek, któremu już życie nie było miłe, poszedł się obwiesić. Ale przed laskiem, do którego zamierzał, był głęboki i bystry strumyk, na którym mostek był zniszczony i tylko wąska kłoda stanowiła niebezpieczne przejście. Maciek zastanowił się chwilę i rzekł:

— Nie głupim tu przechodzić, gotów człek wpaść i utopić się.

— To powiedziawszy, poszedł do domu i żył dalej.

Zły początek.

Żona (do męża, z którego zakupów nie jest zadowolona): Ty zawsze wybierasz co tylko można najgorszego!

Mąż: Niestety, od ciebie zacząłem.

Numer 38. Rok XIV. Kraków, dnia 20 Września 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Jesień idzie...

Idzie nareszcie w całym przepychu złota i krasy, idzie, jakby w czarodziejskiej misy rozlana jesień polska, przepiękna, leciwa i rozmarzona, niby południe słońca wrześniowego... Skąd? Mówią, że z wyżyn błękitu spłynęła, niby gwiazda świetlana i promienna lub z głębokich nieskończoności wynurzyła się otchłani, jak muszla lśniąca, na brzeg rzucona, albo z czarnej i zamglonej wyłoniła się nocy, jako różana jutrzenki wstęga. Idzie, otulona gęstą mgłą ludzkich marzeń, zamysłów i pragnień, wykołysana miljonem tęsknot lepszego jutra i rozjaśniona złudzeń błyskami... Zbliża się powoli, niby kłęby mdłych wahań i ciemnych zwątpień...

Ach, zwątpień kruczych, — bo życie tak trudne i ciężkie! Pełno w niem kłamstwa, obłudy i niesprawiedliwości, pełno jadu wężowskiego, podłości i nikczemności, wskutek czego snuje się żal niezmierny, gorycz i niechęć do pracy, snuje się niby niewidzialny upiór i pcha do rozpaczy. Rozum człowieczy musi zawsze walczyć ze stu ramionami ukrytego dziwotworu, czyhającego na zgubę ludzką. A jesień idzie... Już wczesnym rankiem rozsiada się na polach, lasach i ogrodach Królowa mgieł. Otula swym płaszczem wilgotnym wierzchołki drzew, które czekają pierwszych promieni słońca. Jakże go wszyscy pragną i cieszą się jego ciepłem! Cieszy się rybka pod powierzchnią wody, igrając i lśniąc srebrzystą łuską. Cieszy się ptaszę i buja w niezmierzonych przestworzach. Cieszy się naród, że po mrokach piwnicznych zawitało Słońce wolności i swobody... Cieszą się wsze stworzenia. Lecz jesień idzie... W resztki opadającej mgły godzą ostre dziryty promieni słonecznych, drą ją na szmaty, rzucając o ziemię, gdzie same rozpryskują się w kaskady tęczowych barw. Na ciemno-zielonych gałęziach brzóz, olch i świerków zwisają srebrzyste nitki babiego lata. Sypią się zwiędłe liście, szeleszczą smutnie, niby utajony szept jakiś i cicho spływa na ziemię, jakby krwawe człowieka łzy... Na blado-żółtych liściach gra wicher w jesieni pieśń smutną i żałobną, niby na harfie złotostrunnej.

Słucham bolesnych skarg więdnących krzewów i drzew. Słucham żalów i łkań wielu serc nieszczęsnych, podobnych do urny, w której jedynie szeleszczą popioły. Bo nikt nie odgadnie, jakie gwiazdy losu zaświecą człowiekowi i jakie otoczą go chmury, gdy zaszumi wicher przeznaczeń nieszczęsnych lub uderzy weń grom nieskończonego bólu. Pragnąć szczęścia? Ha, ha, ha — ładne słowo! Któżby go nie chciał mieć na wieki? Ten pragnąłby dla „szczęścia“ choć trochę mamony, tamten sławy i duszy bratniej, inny zaś uznania, sprawiedliwości lub odpowiedniej nagrody za uczciwą pracę — trzeci zadowoli się czystem sumieniem i dobrem imieniem. I każdy z ludzi ma inne życzenia i pragnienia!

Ale pst... Jaka cisza! Smutno, tęsknie i rzewnie, jak brzozom w bolesnej zadumie po kurhanach i mogiłach, jak duchom, błądzącym w mroku wieczornym. Tylko dusza łka i płaczę... nad nieszczęsną dolą rodu człowieczego. Wicher jęczy i tuła się po pustkowiach samotnych i polach szerokich, szarpie wybladłe liście i gra na nich, niby na lirze. A pieśń bólu idzie jak płomień po wyschniętym stepie. I niema zapory na świecie, któréjby ona skrzydłem swem nie dosięgła. Kiedy się ziemia w jesieni rozjęczy, kiedy żałobny rozszumi się bór, to idą smutki ciche i płacze, idą nędze ze skargą tajemną, a za niemi snuje się samotnica-niedola... Na strunach wiatru słychać wiatr żałosny, a za nim ból duszy, jak schorzały człowiek. Lepiej więc tam, gdzie majowe pachną pola, gdzie chylą się lilje białe, gdzie rozkosz, niebiański preludjum i wieczna nieśmiertelność... Bo tu na ziemi tajemne trzeba trącać struny i pieśni śpiewać tajemne, co w duszy krzykiem i bólem wołają i skargą dźwięczą okrutną lub nieraz pytają: czy krew w żyłach zastygła, czy serce od krzywd rozdarte?

Ale i jesień ma swe cuda i marzenia. Ach, te noce! Chciałbym wtedy rozpowiadać „o tym promieniu księżyca, co po smrekach snuje srebrzyste przędze, o słodkich poszumach brzozy, co czesze swe liście na skraju lasu, lub o tęsknicy, co duszę człowieczą uskrzydla i na wiewnych unosi chmurkach, na nitkach pajęczych, na woni kwiatów i na drzew oddechu“. — A jesień idzie... Dmą wichry na wsze

strony, a na nich pędzi rozpacz hen, daleko, daleko... aż runie w przepaść otchłanną.

Ale wnet cisza... Brzmi jakiś głos tajemny — słyszycie? Jakby z nadmiernych chmur, z krainy łez zrodzona, powstaje pieśń górna i lotem błyskawic płynie... Hej, w górę czoła, wy, którzy w ciągłym smutku zamyśleni chodzicie, jak cienie własnej duszy! Hej, wy, którzy marzycie o czynach, co podły świat zdruzgocą, krzepcie ramiona! I twórzcie zawsze i wszędzie ten płomienny i wytrwały Czyn, by z jego blasku padły smugi czerwone i trwogą napełniły wrogów. A my również pomimo burz i wichrów, zewsząd rozszalałych, które „piaskiem chciałyby całą Polskę zasypać“, twórzmy zwarty Czyn jednolity, bo tylko przezeń dojdziemy ku radości i słońcu, dojdziemy ku odrodzeniu dusz i narodu, ku wiecznie promiennej „Wiośnie“ polskiej.

Franciszek J. Tryszczyła.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

XIII.

Od chwili ujęcia Plichty, oswobodzenia i powrotu do ziemi rodzinnej, dużo zmian zaszło w domostwie Ibraima Mitrasa. Do interesów handlowych wkradł się nieład, w dużych izbach sklepu bezrząd znać było. Kupczyki robili co chcieli, pryncypał nie pojawiał się wcale, a jeśli schodził na dół, to dopiero po zamknięciu sklepu i po pieniądze do kasy, które brał, nie rachując i nie sprawdzając. Coś się plątało, rwało się, stawało początkiem końca strasznego.

Jakaś tajemna zgryzota dręczyła Ibraima; pochylił się, postarzał, policzki mu obwisły, pofałdowała się skóra. Z niewymowną trwogą na Admę patrzał, płomieniał, to bledniał i wzrok nieśmiały ku niej podnosił, jakby o przebaczenie za winy jakieś błagając. A zmiana ta zaszła od dnia, w którym Gił-Gułła z Tawani przybył. List przez Plichtę do Halszki pisany nie do jej rąk doszedł: otrzymała go Adme. Przerażenie okryło jej twarz po przeczytaniu pierwszych słów tego listu:

„Sercu najmilejsza, a umiłowana nadewszystko panno Halszko!“

Sercu najmilejsza!...

Czoło Admy zbielało.

...Umiłowana nadewszystko...

Usta zaczęły drżeć, a zęby dzwonić, jakby perły o szkło biły.

Nie mówiąc nic, podała list ojcu.

Mitrasowi zdrętwiała skóra na głowie. Zrozumiał treść listu, lecz zdawało się, że nie rozumiał, jak list taki, dziś właśnie, mógł być nie do Admy pisany.

— Ja mu dałam wolność — on... Biada ci, Halszko Jaszczołdówno! — szept wypadł przez zaciśnięte usta Admy.

Co w sercu się jej działo, jakie myśli zalewały mózg — jeden Bóg tylko wiedział. Mitras z trwogą na córkę patrzał, czuł, że się coś rozdzierało straszliwie w jej duszy, lecz rady na to nie miał. A ona z izby do izby chodziła jak senna, otoczona marami wyobraźni własnej; nie rozumiała pytań — pytana odpowiedzi nie dawała. I widział Mitras, jak nieraz nagle na środku komnaty stawała i w ziemię oczyma przerażonemi patrząc, szeptała:

— Przepaść! przepaść!...

Na nic wszelkie słowa pociechy, przekonywania na nic — zostawił ją więc jej bólowi własnemu, który albo zabije, albo sam się złamie. I oto zbudziła Admę z odrętwienia wieść pierwsza z Żółkwi przez Jasinowskiego przyniesiona, że Halszka o klasztorze zamyśla.

Poruszyła się.

— Klasztor?... niech włosy jej utną, nich mury ją zamkną — uratowana będzie.

Jasinowski okrutnie zbiedzony wyglądał, lecz słowo dał Admie, że doniesie o wszystkiem, co tylko w zamku żółkiewskim się stanie.

Myśl o usunięciu się Halszki z widowni świata jakąś otuchą napełniła serce Mitrasówny. Nie poprzestała jednak na wiadomościach, jakich jej pan Symforjan miał udzielać, lecz postanowiła śledzić każdy krok Plichty — dzień po dniu, godzina po godzinie niemal. Skrzynie Mitrasa, złotem wypełnione, potężnym były środkiem do tego. Grecy i Ormianie polecili służby swoje bogatej firmie Ibraima — jacyś przekupnie poczęli się wałęsać po drogach wszystkich — widziano ich w Żółkwi, w Jagodyńcach, ocierali się nawet o mury koreckiego zamczyska. Poczta uszna przelatywała przestrzenie ogromne, tajemnicza kołatka raz wraz odzywała się u wrót domostwa Mitrasowego. Jarucha otwierał wrota, wpuszczał i wypuszczał onych posłańców nieznanych, szepcąc pod nosem, że na Łysej-Górze wiedźma worek z opętańcami rozwiązała. I dowiedziała się Adme o chorobie Plichty, o jego bytności przez zimę całą u kniazia Samuela; dowiedziała się, że gdy wieść doszła do Żółkwi o cudownem ocaleniu rotmistrza, Halszka odżyła i rozwiała marzenia klasztorne; dowiedziała się jeszcze o dniu, w którym pan Konstanty ruszył. O! jak jej serce tłukło się gwałtownie, jaki ją śmiertelny niepokój zabijał na myśl, czy zajedzie do Jagodyniec, czy zamek żółkiewski nawiedzi? Ale minął siedzibę Jaszczołdów, Żółkiew objechał i do Lwowa się skierował.

Adme odetchnęła. Snać zwyciężyły wspomnienia, dawna zwyciężyła miłość!... Nie ominie teraz domu Mitrasa, choćby dlatego, że mu zawdzięcza ocalenie swoje. Niech tylko z podziękowaniem przybędzie, a ona już go nie puści. Opęta czarem wspomnień, nogi warkoczami wspomnień zwiąże, powstrzyma rzeką łez, zmysły odejmie miłowaniem ogromnem. Niech tylko przyjdzie, niech tylko przestąpi ten próg!...

Z piersią falującą, z sercem rozkołysanem straszliwie, z ustami rozpalonemi jak żar, gotowemi na pocałunek śmiertelny, świecąca od złota i klejnotów — oczekiwała przybycia miłego. Gdy ją zawiadomiono, że Plichta we Lwowie się pokazał:

— Nie pęknij serce! — szeptała, do piersi drżącą dłoń tuląc.

Ale mijały sekundy, minuty, kwadranse i godziny — u wrót nie odezwała się kołatka, w dziedzińcu nie zadzwonił brzęk końskiej podkowy. Plichta Lwów minął i udał się w Krakowskie, do siedziby swojej. Adme w przystępie szału stargała muszliny szat, precz odrzuciła klejnoty i złoto, że przerażony Mitras o zmysły jej obawiać się począł.

— Minął Żółkiew, Jagodyńce — ale dlaczego Lwów minął?... — wołała, od łez się dławiąc.

— Opamiętaj się, Adme — opamiętaj!... Znaj, że wyszedł z rąk Kantemira, kośćmi więc trząść musi.

Na to zważ, że hetmanowi się nie pokłonił — tu zaś żeber suchych pokazować nie chciał.

Dla każdego rozbitka deską ratunku jest nawet marne źdźbło trawy. Minął Jagodyńce i Żółkiew... Ominięcie tych miejsc słabą, jak nić pajęcza, pociechę przyniosło. Ale pociechą taką żyć trudno. Mijały dni — Adme czuła, że jej rozum się mięsza.

Razu pewnego Jasinowski przyjechał i szepnął:

— I cóż waćpanna sądzisz?... Ni do Jagodyniec zajrzał, ni Żółkiew nawiedził!...

— I Lwów przejechał — szepnęła Adme.

— Halszka już straciła nadzieję — rzekł pan Symforjan.

— Tem lepiej dla niej.

— Mnie się widzi, że on o waćpannie myśli, jeno do niego serdecznie zagadać trzeba.

Te słowa utkwiły w pamięci Admy.

Po wyjeździe Jasinowskiego weszła do pokoju ojca. Policzki miała rozpalone, żarem dyszącą pierś, a drżenie nerwowe przebiegało ją całą.

— Ojcze! — szepnęła.

— Co, Adme?

— Oszaleję!...

Mitras zerwał się z siedzenia i dygotać począł.

— Ratuj!...

— Co ja zrobię — co, co?... — mów — a wszystko uczynię!...

— Jedź... zaraz... do niego, jedź!... Powiedz, że ginę, przepadam, zamieniam się w proch!... Niech przyjedzie po pożegnanie ostatnie... Tak powiedz — i on... przyjedzie!... Przywieje go wiatr wspomnień, sumienie, ból, rozpacz moja! Niech ujrzę go tu tylko, a już nie odjedzie... Już będzie mój — na zawsze mój!

Mitras nie wiedział sam dlaczego, lecz wołał się nę, przepadam, zamieniam się w proch!... Niech przyczem Plichty. Przeczucie mu mówiło... Nie, nie, nie — nic mu nie mówiło przeczucie. Myśl tę, jak złego szatana, odpędzał — on drżał na myśl schylenia się do prośby, choć o to Adme prosiła, choć pewny był, że złote wspomnienia załaskocą w serce Plichty, obudzi się litość w nim, żal, poczucie wdzięczności... Zgodził się jednak, ale z trwogą śmiertelną w duszy, z tą biernością istot, które już do stracenia na ziemi nic nie mają. Dla Admy poświęcił wszystko; grzech niejeden, niejedna zbrodnia na jego już ciężą sumieniu, a tej odrobiny dumy ma poskąpić?... Zgnębiony — ale pojechał.

Na łonie rodziny, Plichta, aczkolwiek powoli, lecz do zupełnego zdrowia przychodził. Jeno wspomnienie Halszki zasępiło mu czoło, ale wesoły śmiech Andzi, która wczas zawsze przy boku brata się znalazła, rozpędzał precz smutek i zapominać kazał o boleści serdecznej. Nie wspominał przed nikim o miłowaniach swoich, chyba księdzu na spowiedzi o tym grzechu szepnął — grzechu, który dwie dusze niewieście smutkiem i boleścią napełnił. A przedmiotu do opowiadań nie brakło; zapasy wojenne, niewola krymska, książę Samuel Korecki i Symeon Kopyciński byli ciągle na ustach opowiadacza. Z rycerzy wszystkich najwięcej Andzi do smaku Łupiskóra przypadł. Plichta śmiał się z upodobania siostrzyczki, śmiał się, gdy wieczorem przed domem usiędą, a ona zaraz:

— Kostek! o Łupiskórze mi mów:

— Ej, Andziu — jako widzę, wydałabyś się za niego.

— Czemu nie! — odpowiedziała dziewczyna.

— Kiedy on nie lubi Polek.

— Dziwadło jakieś! — wykrzykiwała wtedy Andzia. — Ale to nic! ja lubię, gdy mi mówisz o nim.

I Plichta opowiadał o Lachu-Strachu, a dziewczyna z oddechem zapartym słuchała o rycerskich czynach pana Symeona.

— To on, mówisz, w pół Tatara przecina?... Dusza moja, ten Łupiskóra!... — wołała, aż pani matka mitygować dziewczynę zmuszoną była.

Pewnego wieczora Plichta siedział w izbie u siebie, gdy pachołek go zawiadomił o przybyciu gościa jakiegoś. Nikt go tu jeszcze nie widział, karocą przyjechał, możny pan jakiś, a mówi cicho i pytał o pana rotmistrza.

— Proś go, wasze!

Drzwi się otworzyły nieśmiało. Ktoś wszedł. Plichta rozżarzył knot lampy, z siedzenia się uniósł, spojrzał — i drgnął.

Przez próg, krokiem niepewnym, przystąpił Mitras.

Na widok Ibraima, krew odpłynęła z policzków Plichty, wargi zacięły się gwałtownie, a łuki brwi zabiegły groźnie.

— Wać — pan... tu?

Pytanie to, przy tej bladości twarzy, ustach drgających, spojrzeniu gromowem — było uderzeniem młota w pierś Mitrasa. Ale się zmógł, kroku nie postąpił, ręki nie wyciągnął, tylko skurczył się, pochylił i drżącym głosem wyszeptał:

— Pozdrowienie waszmość panu — zasyła — przezemnie... Adme!...

— Przezemnie zaś waszmość panu pozdrowienie zasyła — Hilda!

Cios był okrutny! Przeczucie głuche mówiło Mitrasowi o ujawnieniu tej tajemnicy piekielnej — teraz ono zmieniło się w pewność. Bladość śmiertelna pokryła twarz Ibraima, zrozumiał teraz ominięcie Lwowa, list do Halszki, pęknięcie gmachu całego, który nie kto inny, jeno on zwalił i gruzy cisnął na głowę Admy. Ostatnim wysiłkiem woli umykającą przytomność zatrzymał i zbielałe oczy na Plichtę obrócił. Ale litości nie dojrzał, zmiłowania nie dojrzał, jeno twarz bielszą, nozdrza rozdęte, zaciśnięte usta więcej, brwi spięte klamrą gniewu i groźny palec prawicy, pokazujący drzwi. Mitras się zachwiał, zatoczył się jak pijany i chwytając się za odrzwia, za próg się wychynął. Wtedy z głuchem: aaa! Plichta runął na krzesło.

— Koniec, koniec nareszcie z tym domem przeklętym! — zawołał.

I odetchnął lżej.

Adme z niepokojem czekała przybycia ojca. Łudziła biedne serce niespożytą siłą wspomnień i gdy wieczora pewnego odezwała się kołatka, rzuciła się jak szalona na schody, na spotkanie ojcowskie spiesząc.

Wszedł Mitras — ale jak trup wyglądał. Za ściany się chwytał, łapał za poręcze, zdawało się, że padnie, że tych stopni kilka oddzielających go od córki nie przejdzie. Oczy Admy strachem spojrzały.

— Co tam... co tam, ojcze?... — spytała, powietrze chwytając.

— Policzek mi dał — wybełkotał Mitras.

— Śmierć! — wybiegło z ust Admy.

Zadrżały kolana pod nią, resztkami sił omdlewających piersi chwytała powietrze, jak ptak umierający — ale nie padła. Jeno mówiła: „mów!" i słuchała niewyraźniej opowieści ojca.

Mitras policzkiem nazwał wypędzenie go..: Dlaczego tak z nim postąpiono — niby nie wiedział. Ja-

kaś plotka musiała między nimi zaporą stanąć. Nieprzebyty mur kamienny, żelazny mur!...

Z niepojętym spokojem słuchała Adme słów ojca. Wiedziała jedno tylko, że pomiędzy nią a kochankiem wszystko skończone, że się coś rozdarło strasz liwie, że nieprzebity, żelazny stanął mur...

— Adme! nam tu nie ostawać już! Kapitały zbiorę, sklep spieniężę i w świat... w świat...

— Na Krym...

— Nie, nie, nie! — zakrzyczał Mitras — wszędzie, tylko nie Krym!... O, Adme!... gdybyś ty wiedziała, jakie piekło mam w duszy! — Adme! ja ciebie miłuję tak... O, Jezu! Jezu!...

W dłonie obie głowę nieszczęsną pochwycił i ryknął płaczem wielkim, niepowstrzymanym.

— W świat... w świat — szepnęła Adme głosem bezdźwięcznym. — Zrobię, co chcesz — pójdę, gdzie chcesz... tylko...

— Życia sobie nie odbiorę — dodała po chwili — jeno słowo mi daj, że... kroków moich śledzić nie będziesz, że serca trwogą nie wypełnisz, jeżeli zniknę na czas dłuższy. Pójdę — i wrócę... A jeżeli wrócę i powiem: spełniło się! — wtedy już za tobą pójdę, dokąd zechcesz, na Wschód, czy na Zachód, na Północ czy na Południe... dokąd zechcesz.

Mówiła powoli, urywanie, ważąc myśl jakąś. Myśl była ciężka, bo ledwo przez usta, zamieniona w słowa, wybiec mogła, bo widoczny sprawiała ból i gniotła pierś kamieniem.

— Byle prędko, Adme! byle prędko!... — szeptał na pół przytomny Mitras.

— Byle prędko — mówisz?... O, gdybyś wiedział, zechciałbyś czas ten zatrzymać na długość życia ludzkiego!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Pożyczani“ krewni.

Swojego czasu, wystąpił pewien uczony nazwiskiem Darwin, z wielce niemiłem twierdzeniem. Oto udowadniał na wszelkie możliwe i niemożliwe sposoby, że człowiek pochodzi... od małpy! Narobiło to wówczas wiele hałasu! Każdy wypierał się, lub przyznawał do pokrewieństwa, nawet Kościół wystąpił i zabrał głos w dyskusji. Bo moi państwo! żeby choć dać nam jakiegoś przyzwoitego protoplastę, z uczciwym garniturem w paszczy i odpowiednio silnem, mocno gotyckiem zakończeniem łap, no to jeszcze! Cośby z tego zostało i na teraz i pomogło w opędzaniu się przed zbyt natarczywą „miłością“ bliźnich! Ale małpa? niewinna, złośliwa, a nader sympatyczna przez swe figle — małpa? Nie wiem kto komu zrobiłby zaszczyt tem pokrewieństwem! Obecnie jednak zaczynają rodzić się refleksje: a nuż? Jakaż bowiem jest główna zaleta, lub jak kto woli wada, małpy? Oto to, że lubi naśladować! Jej można to wybaczyć, owszem jest to nawet u niej właśnie, wielce miłe. Ale hm! Cóż powiedzieć, gdy to robi pan stworzenia — człowiek? A naśladujemy a raczej... od góry do dołu! i co najsmutniejsze, że my Polacy przodujemy innym narodom w tym wypadku. Nie mamy własnego zdania, własnego kąta widzenia, patrzymy na wszystko oczyma obcych, kierujemy się ich sądem, chcemy gwałtem przystosować nos do tabakiery, a ciasny futerał do olbrzymich okularów. A potem dziwimy się, że się coś nie kleji, paczy, słowem — nie idzie! Słowa wielkiego naszego wieszcza: „co Francuz pochwali, to Polak polubi“, są nadal wielce aktualne, mimo zmiany stosunków i ustroju! Tylko, że teraz nię musi pochwalić koniecznie Francuz. Może to być kto chce, byle koniecznie obcy! Oto parę przykładów:

— Mamusiu kup mi na sukienkę crep de chine'ową! (krepdeszynową).

— Ależ córeczko masz przecież tyle, sprawiłam ci dopiero trzy: fularową, batystową i płócienną.

— Tak, ale tego nikt nie nosi! — Argument dość silny. Mama głodzi siebie, oszczędza, zadłuża się i suknia jest!

Młody człowiek chce się ubrać wedle swego gustu. Idzie więc do krawca i każe sobie szyć garnitur.

— Ależ panie łaskawy! Tak i tylko tak ubierają się w Paryżu, w Londynie... ale to, co łaskawy pan żąda? — ironiczny uśmieszek — tego dziś żaden gentelmen nie ubierze!

Po takiem przemówieniu, skutek oczywisty. Młodzieniec ubiera się „po zagranicznemu“.

Żona urządza scenę zadłużonemu po uszy małżonkowi.

— Potworze bez serca! Komisarzowa Z. już ma trzeci kapelusz w tym roku! A ja?

— Ależ kochanie! Przecież twój jest jeszcze śliczny!

— No tak! Ale niemodny! Kto to dziś nosi? Nikt.

I małżonek, stękając, obmyśla, gdzieby tu pożyczyć, aby żona jego mogła być podobną do innych.

Do skrzynki „polskiego“ radja wpływa wciąż wiele listów z użaleniem na muzykę.

— Ależ kto słyszał? mazury? obertasy? kujawiaki? a wkońcu polki?! Kto to dziś gra? Cała elita zagraniczna uznaje tylko foxtroty, tanga, bluesy! Komu zaś nie imponuje muzyka, ciężka: jak symfonje Bethovena, Mozarta i innych, jest widać niedorozwinięty, no i powinien sobie kupić... gramofon.

Przecież od Alp Skandynawskich, aż po Apeniny, słychać tylko z wirtuozostwem wykonane utwory tych wielkich i największych, więc jakże to? My, Polacy, mamy zostać w tyle?

No i tak. Trzy złote zapłać i to koniecznie, a słuchaj Wiednia lub Oslo, bo tam grają... polskie utwory!

Naśladujmy więc! Naśladujmy co się da, nawet „Burłaka“ i „Wołgę“, naśladujmy obcych poetów, naśladujmy malarstwo i rzeźbę! Precz ze swoistem, rodzimem zdobnictwem, precz ze swoistą muzyką i sztuką! Precz ze zwyczajami, bo stare i niemodne! Precz ze wszystkiem, co nosi markę „Made in Poland“, wiwat zagranica w strojach, muzyce, sztuce, gospodarstwie i polityce! Duma narodowa, to przeżytek! Sztuka polska, to zaścianek! Wielcy nasi, to zabytki! Muzyka nasza, to prostactwo! A może pójdziemy dalej jeszcze? Może przeszłość nasza, to mit! Może i bohaterowie nasi, to legenda! Może my wcale nie istniejemy? Może jesteśmy cieniami wielkich ludzi, wielkich poczynań, wielkich dzieł — Francuzów, Anglików, Niemców i Włochów? A może! A co się stanie, gdy ci nie zechcą mieć cienia? Gotowi jesteśmy roztopić się w nicość! Bo w nicość tylko obrócić się może naród, który wiecznie jest... papugą obcych! Czy jednak tylko papugą?

Marja Waller.

O żebraczym kiju.



W samym środku Zygadłowic rozsiadło się wspaniałe gospodarstwo Jacka Styrnawy. Nie brakowało tam ani chleba, ani omasty, gdyż oboje Styrnawowie pracowali od świtu do nocy, a Bóg pracy ich błogosławił. Kiedy inni na przednowku przymierali głodem, to u Styrnawów było jeszcze chleba poddostatkiem tak, że nietylko dla nich i ich czeladzi wystarczało, ale jeszcze i niejeden komornik przy nich się pożywił. Nie żałował Styrnawa dla biednych, a już jego małżonka wszystkoby była rozdała, gdyby jej mąż nie hamował.

Widocznie podobało się to Panu Bogu, gdyż rolę Styrnawów takiemi urodzajami obdarzał, że aż dziwowali się sąsiedzi i zazdrościli mu błogosławieństwa Bożego. Jednego im tylko w domu brakowało. Choć żyli już ze sobą lat piętnaście, w kołysce dotąd nie zakwiliło małe dziecię, nie wyciągło rącząt do stęsknionych rodziców, nie rozweseliło ich życia wesołym uśmiechem. Ale i pod tym względem Pan Bóg zupełnie o nich nie zapomniał, bo pewnej niedzieli rzekła Styrnawina do swego małżonka:

— Stary, cosik ci powiem...

— A cóże takiego? — zapytał małżonek z uśmiechem, gdyż Baśkę swoją miłował okrutecznie.

— Nie wiem jeszcze pewnikiem, ale zdaje mi się, że cosik będzie...

— Niby co? — zapytał, nie rozumiejąc, ale wnet się domyślił i począł gładzić swoją kobiecinę to po twarzy, to po rękach, a wreszcie powstał, złożył ręce do modlitwy i dziękował Bogu za uzyskaną łaskę. A modlitwę swą tak zakończył:

— Panie Boże, jeżeli obdarzysz mnie chłopakiem, Tobie go poświęcę. Mam z czego, poślę do szkół i na chwałę Twoją wychowam. Księdzem musi być, nie inaczej... Tak mi Boże dopomóż i święci Anieli!

— A jeśli Ponlezus da dziopę? — zapytała Baśka.

— A czy to niewieścich klasztorów niema? Do klasztoru dam i cały majątek klasztorowi zapiszę...

— Niechby tak było, jako chcesz, bo wiem, żeś jeszcze nigdy w życiu nic złego nie chciał.

Gdzieś koło świąt Bożego Narodzenia urodził się Styrnawom chłopak, jak malowanie. Strzegli go rodzice, jak oczka w głowie, a kiedy podrósł, posłali do szkół i na nauki nie skąpili. Waluś był rozpieszczonem dzieckiem, więc nie bardzo chciało mu się uczyć. Wrodzone jednak zdolności sprawiały, że przechodził z klasy do klasy i w ośmnastym roku zasiadł do matury. Lecz na dwa miesiące przed maturą spotkało go nieszczęście. Ojczysko rozchorował się, a że to chłop nawet nie ma czasu chorować, więc po krótkiej chorobie zmarło.

Waluś jakkolwiek ojca miłował bardzo, nie przejął się zbytnio jego śmiercią, a nawet w głębi ducha przyjął ją z zadowoleniem. A uczynił to z dwóch powodów: po pierwsze, że nie będzie musiał iść na teologję, na którą ojciec go przeznaczał, a powtóre prędzej będzie mógł ciągnąć od matki pieniądze, których mu ojciec ponad konieczną potrzebę nie dawał.

I ciągnął też, ciągnął. Po maturze zapisał się na prawo, a tam zaznajomił się z koleżkami, którzy z jego hojności korzystali. Bo hojność odziedziczył po rodzicach, ale nie tę rozsądną hojność, która każe wspierać biednych, ale hojność dla towarzyszy hulanek i zabaw niezawsze pochwały godnych.

Biedne matczysko, kochając syna nadewszystko, słało stówczynę za stówczyną, a że pieniądze nie rodzą się nawet na najurodzajniejszej roli, musiała ich szukać gdzieindziej, sprzedając co kilka miesięcy po kawałku pola. A kiedy już synuś skończył uniwersytet, pola tego nie zostało wiele. Bieda poczynała coraz częściej zaglądać do chaty Styrnawowej. A końca jej nie można było oczekiwać, choć Waluś ukończył szkoły i otrzymał posadę, nie zaprzestał ciągnąć z matki-starowiny.

Sprzedała ostatni kawałek pola i posłała pieniądze synowi. Sama zaś postanowiła zarabiać na życie pracą rąk własnych. Lecz sił jej nie stało. Dobrzy ludzie poradzili, aby udała się do syna, to on ją przecież przygarnie i nędzy cierpieć nie da.

Usłuchała dobrej rady i o żebraczym kiju udała się do Krakowa, gdzie syn miał posadę jakiegoś wysokiego urzędnika. Dopytała się o niego i zastała go wśród grona zaproszonych gości. Weszła nieśmiało do kuchni i kazała wywołać Walusia z pokoju.

Wyszedł do niej wyrodny syn, ale zobaczywszy matkę w łachmanach, udał, że jej nie poznaje.

— Wynoście się mi kobieto w tej chwili, bo inaczej zawołam policjanta i on się wami zaopiekuje.

Łzy strumieniem popłynęły z oczu Styrnawowej, popatrzyła miłosnem okiem na niedobrego syna, a wyciągając z zanadrza niewielki węzełek, rzekła:

— Mam tu, Walusiu jeszcze dwadzieścia złotych... Weź to dziecino, może ci się przyda, weź...

I wziął, a biedna matka poszła w świat na żebraczy chleb, aby już nigdy więcej w życiu swego synalka nie zobaczyć.

Antoni Socha.



Niktórzy starzy ludzie padają, że za dawnych, dawnych casów działy się rozmaite cuda na świecie, którem ludzie się dziwowali i o nich równiez różne cuda opowiadali. Dziś, jak powiadają niktórzy, juz cudów na świecie nima, bo uceni ludzie wszyćko spenetrowali i wszyóko na rozum wytłomacyli. A przeciez, mojem zdaniem, cuda są i to jesce nie byle jakie.

Wiadomo wszyćkiem na świecie, ze aby dzieucha miała brzdąca, to musi się najpierw w niej ktoś zakochać, potem pójść z nią do jegomości na pacirze, dać na opowiedzi, wziąć ślub w kościele, dostać jałówkę od tatusia, a parę bucaków powrozem na plecy od chłopa i dopiro po takich przygotowaniach moze być zdatna do mienia brzdąca. A więc, aby się mały pędrak umnozył, potrzebny narzecony, pan organista, jegomość, tatusiowa jałówka i chłopów powróz. Magda Powróżkowna wszyćkiego tego nie miała. Urodziła się w panieństwie, styrdzieści lat przechodziła w cystości, jaz tu nagle w samą Siewną zapiscało coś na jej łózku i gospodyni Magdy powiadają, ze Magda ma brzdąca.

I cyz to nie cud prawdziwy? Abo inksa rzec. Oto pewien poseł endecki, ozeniony z zagorzałą socjalistką, prześli w młodości i zaręcyny, i zaślubiny i powrozowiny, i zyli sobie, jak pies z kotem w raju. Łońskiego roku zachciało się jem dziecka. No i co powiecie? Przysło jem w tamtem tygodniu na świat małe Be-be, któremu zapewne za parę tygodni i WR urośnie.

No i cy to znowu nie cud prawdziwy. Jakby nie był cud, toby przysło na świat N. D., abo P. P. S., ale nigdy nie B B.

W mieście Brodach, nazywającem się tak, bo prawie kuzden tamtejsy mieszkaniec nosi na wirzchu gęby brodę, stał się niedawno takze cud. Oto pewnego dnia chodził sobie po rynku rabin tamtejsy. Nagle ujrzał, ze mały 5-letni Icuś zajada trefną kiełbasę. Oburzenie ogarnęło rabina na taką bezbozność. Ujźroł wielgaśne drzewo na rynku i powiada:

— A ty ganef, ty paskidnik, niech tobie to wielgie dziewo na głowę się zawali, co ty zres trefną kiełbasę!!

Ale jesce rabin nie skońcył dobrze gadać, kiedy przysło na niego upamiętanie. Pomyślał se, ze moze to jaki obrzydliwy goj umyślnie dał dziecku to paskudztwo, aby je skusić do grzechu. Zal się zrobiło rabinowi dziecka, powiada więc w swojej wielkoduszności tak do tego drzewa:

— Słuchaj, ty drzewo, po co ty się masz na to niewinne dziecko zawalić? Ani tobie, ani jemu nic z tego nie przyjdzie. Powiadam tobie: stój sobie dalej spokojnie!

I stał się cud, bo drzewo się nie zawaliło, ale stoi do dzisiaj na rynku w Brodach. Kto nie wierzy, niech jedzie do Bród cy Brodów, a przekona się, ze prawdę gadam.

Juz od najdawniejsych casów tak było, ze nowonarodzone dziecko było podobne abo do matki, abo do tatki, abo do babki, abo do dziadki. Casem zdarzało się, ze jakiś tam wyrodek podał się do stryka lub do łujka, a wyrodkówna do ciotki lub stryjenki. U nas zasię w Psiej Wólce zdarzył się cud prawdziwy, bo oto przed paru tygodniami u Franasków umnozył się chłopak, który nie jest podobny ani do Franaska, ani do Franaskowej, ani do nikogo z ich rodziny, ino jak dwie krople wody do samego pana organisty.

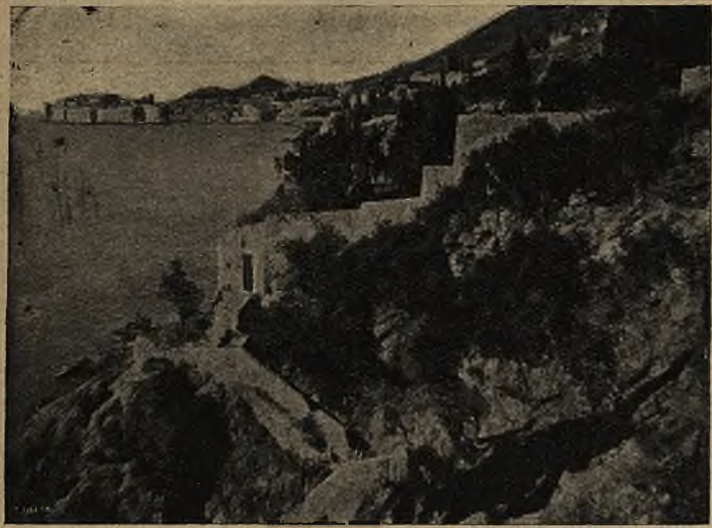
I znowu cy to nie cud ocywisty?

Oj są cuda na świecie są, ale ludzie ich nic widzieć nie chcą, bo najcęściej się ich wstydają. I ja widziałem juz nieraz różne cuda, o których wam w przysłem roku dość naopowiadam, o ile se mnie pan Kowalcyk do opowiadania najmnie. Jednego ino cudu nie mogę się docekać, a to jest, by mi moja gosposia dali tyle jeść, bym choć raz w zyciu nie był głodny.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Raguza III.

Nim opuścimy w naszych pogadankach piękne miasto dalmatyńskie, podajemy jeszcze na zakończenie trzy widoczki, a mianowicie ogólny widok

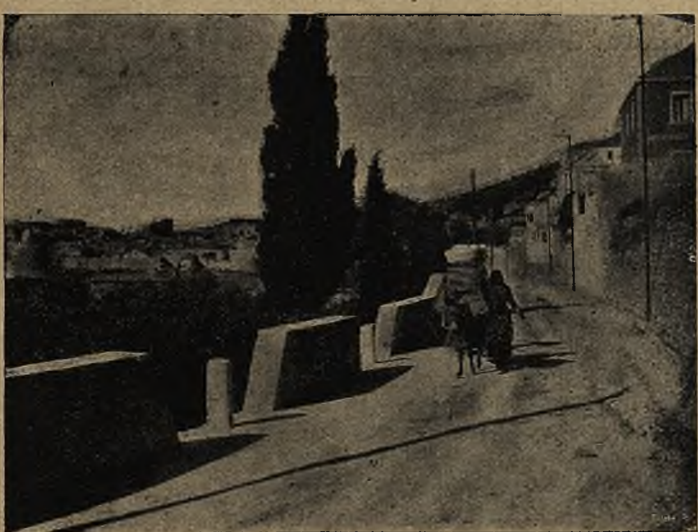


Ogólny widok Raguzy.

Raguzy, jedną z tamtejszych charakterystycznych ulic i murowaną bramę z pięknym widokiem na morze.

Dalmacja, w której leży Raguza, jest krajem pełnym rozmaitości. Tutaj spotykają się dwa światy: kontynentalny i nadbrzeżny morski, świat roślin środkowo-europejskich i śródziemno-morskich. Kwieciste łąki, gaje owocowe, pola zbóż, buki rozwijają się obok gajów oliwnych, mirtów, agaw i palm.

Gaje oliwne i poważne pinie przypominają przylądki sąsiednich Włoch. Obok nich, tylko Dalmacji właściwe, żarem słońca spieczone, nagie skały toną w świetle różowem, który tu i ówdzie pokrywa gruby cień dębów i drzew chleba świętojańskiego. Skoro cień wieczoru lipcowego zarzuci na okolicę zasłonę, falującą w przeróżne kształty i odcienia, bledną kontynenty a ciemny lazur nieba, spięty srebrzystą wstęgą spienionych fal otacza wyspy, półwyspy i brzegi Dalmacji. Wszystko zaś ujmuje łagodny, aromatyczny, jak zapach róży, powiew powietrza.



Jedna z ulic raguzańskich.

Dalmacja, położona na progu dwóch światów: wschodniego i zachodniego, była dłuższy czas kością niezgody pomiędzy obu światami, aż wreszcie pozyskał ją niemal całkowicie Wschód. Była ona areną, na której poruszały się od przedhistorycznych czasów różne ludy. Mieszkali tu Illirowie, podzieleni na różne szczepy. Na nich wywierali wpływ Fenicjanie, a następnie Grecy. Po licznych bojach zajęli kraj Rzymianie, pozakładali liczne osady i pobudowali drogi. Dalmatyńców cenili bardzo jużto jako śmiałych żeglarzy, jużto jako znakomitych jeźdźców. Dalmatynki były poszukiwane w Rzymie jako dobre mamki, a suknia dalmatyńska wzięta została przez Kościół katolicki, jako ubranie do służby Bożej, pod nazwą dalmatyki.

W czasie wędrówki ludów ucierpiała wiele Dalmacja. Zrywała się do samodzielnego życia, osobne



Piękny widok na morze.

królestwo tworzyła i znów pod nawałą barbarzyńców padała. Rozciągali nad nią panowanie Bizantyńcy. Po nich przybyli Awarowie i przyprowadzili ze sobą Słoweńców, którzy, służąc Awarom, budowali im okręty na Sawie i Dunaju. W roku 549 dotarli po raz pierwszy Słoweńcy aż do Durazzo. Odtąd coraz to nowe fale Awarów ze Słowianami z poza Sawy i Dunaju napierały na Dalmację.

Za czasów cesarza Herakljusza (610—640) nastąpił zupełny podbój Dalmacji przez Kroatów i Serbów. Serbska jej część zdobyła sobie samodzielne stanoiwsko, a kroacki książę Muncimir obwołał się księciem z Bożej łaski. Jego następca Tomisław,

około 914 roku tytułował się już królem. Swinimirowi przysłał papież Grzegorz VII ten tytuł, a on uznał się papieskim lennikiem w nadziei uzyskania pomocy przeciw Wenecjanom i Normanom. Mimo to po jego śmierci przypadł kraj Wenecjanom. Wdowa po Swinimirze poddała się bratu swemu, Władysławowi I królowi Węgier. Odtąd kraj szarpany był przez Węgrów, Wenecjan, Bizantyńców i królów Neapolu. Wioski i miasta płonęły w pożarach, rozsypywały się w gruzy, ludność ginęła od chorób i miecza. Władały Węgry Dalmacją, a jej wybrzeża dzierżyli Wenecjanie. Cierpiała wiele od napadów Turków.

Po upadku Wenecji dostała się Dalmacja w 1797 roku pod panowanie Austrji. W roku 1810 przyłączył Napoleon Dalmację do królestwa włoskiego, a w roku 1815 na kongresie wiedeńskim dostała się Dalmacja z Raguzą i Kotorem znowu pod panowanie austrjackie i pozostawała pod niem aż do końca wielkiej wojny, po której weszła w skład państwa jugosłowiańskiego, składającego się z dawnej Serbji, z Kroacji, Slawonji, Bośni i Hercegowiny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

REC.

Dzwon na Anioł Pański.

Nowela.

Uklękła dziewczynka, Józia i zaczęła głośno, a monotonnie odmawiać Pozdrowienie Anielskie, „ochfiarując je na ochfiarę za te duszecki zmarłe". Chłopcy, jako już starsi, odmówili pacierz pocichu i poszli spać na strych. Józia położyła się na łóżku.

Drążkowie usiedli w oczekiwaniu, co im Brożkowa powie, może z czemś ważnem do nich przyszła, nie wątpili. Zaciekawiał ich bardzo ów „węzołek", lecz nie zdradzili się z tem ni słowem. Brożkowa zaś tymczasem namyślała się — czy wyjawić im swą prośbę, czy też upozorować czem innem to jej przybycie do nich. Obawiała się, że jej odmówią i odprawią ją z niczem. — Toby było najgorsze! — przemknęło jej przez głowę. Westchnęła w duchu do Najświętszej Panienki, swej Patronki i już miała zacząć, gdy przydługie nieco milczenie przerwał Drążek:

— Wom tam pewnie niewesoło samy?...

— Oj, żebyście wiedzeli, że niewesoło... — urwała.

Miała ochotę wybuchnąć potokiem skarg i narzekań na swoją sierocą dolę, ale coś ją zatchnęło, więc umilkła.

Znowu upłynęła chwila przykrej ciszy. Wreszcie Drążkowa:

— O, bobyście się przenieśli do nas do Brzezin i nie siedzielibyście sama jedna tam w Siedliskach pod lasem...

Popatrzyła na męża, czy nie ujrzy w jego oczach czegoś, coby oznaczało, że powiedziała za dużo, ale on obojętnie wodził wzrokiem po ścianie. Więc dodała:

— Troche-ta chałupa za mało i za ciasno, ale wybyście sie jeszcze zmieścili. Coby było, toby my razem zjedli, coby trza było zrobić, toby my zrobili i zawdyby to jakoś inacy... Jak myślisz, stary?

— Hm... bo jo wiem?

— Moji złoci, a to jo właśnie z tem do wos przyszła... — ozwała się Brożkowa. — Nie śmiałkowałam powiedzieć, ale kiedyście zacyni, to...

Popatrzyła, jakie to robi na nich wrażenie. Z Drążka nie można było nic wywnioskować, natomiast siostra zdawała się jej być życzliwą. Więc zwracając się do szwagra, jakby go chciała wzruszyć, opowiadała o swem opuszczeniu i o swem sieroctwie.

— Mojiście wy, pókim miała męża i to najmilejsze dziecko, tom była łogromnie szczęśliwo. Zawdym se Bogu dziękowała za to szczęście i modliłam się o błogosławieństwo dlo nos wszystkich... Ale Pombóg wzion mi najpierw chłopa, tako była Jego wola... Opłakałyśmy go z Jadwisiom... Potem powołoł do Swy Kwały niebieski i tego mojego złociutkiego chrobocka... Mówie wom, że mało mi serce nie pękło, jagem szła za ji trumnom! — żaliła się, pochlipując zcicha. — Jagem przyszła do chałupy i nie zastałam nikogo, tom głowom biła ło ściane. Ni mogłam se miejsca znaliźć, tak mnie serce bolało. Bo powiadom wom, co to było za dziecko!... Łod najmnijszych lot i usłużne, i spokojne i takie, coby nikomu nie wlazło w drogę. Oj, cieszyłam jo sie, cieszyła, że jak podrośnie, bede mieć z ni poszkute. A tu, jak podrosła, to mi jo Pombóg zabroł... Dziewiętnoście roków miała, jak umarła.

I tu Brożkowa zaczęła płakać w głos, aż ją musieli Drążkowie uciszać i perswadować jej, że płaczem córki nie ożywi, ale ona nijak nie mogła przyjść do siebie.

— Dajcie pokój, siostro, jużeście sie dość napłakali bez tyla roków — uspokajała ją Drążkowa.

— Co jo sie napłakała, to som Pombóg tylko wi! — Ale co to! Z płakanio nic nie przyszło, a tu na Boski opiece była i krowina w chałupie, i świniem se chowała, i w polu była robota, to trza było żałość łostawić na boku, a chytać sie roboty. I tak bez szesnaście roków, póki mi jeszcze sił wydoliło, tom sie uganiała ze wszystkiem. Teroz mi już sił zacyna brakować. Słabi mnie, jak sie chyce jaki roboty w polu i bolo mnie już stare kości. Zdałabym na kogo ten mój kawałecek, zeby mnie wzion do siebie.

Wpatrzyła się prosząco w Drążka. Na twarz jej zapłakaną padało żółtawe światło zakopconej lampy i czyniło ją podobną do gromnicznego wosku. Drganie zaciśniętych ust wskazywało, że jeszcze nie ochłonęła z poprzedniego wzruszenia, a błagalny jej wzrok, zatopiony w szwagrze, zdawał się krzyczeć rozpaczliwie o wsparcie.

Drążek namyślał się, zastanawiał, jakby coś obliczał. Wreszcie ozwał się:

— Kiedy wom tak źle samy, to łostońcie przy nas. Łono sie tu dlo wos mijsce znojdzie. Bedziecie chcieć, bedziewa razem siedzieć w jizbie, a jak nie, to sie w kumorze wyrżnie łokno, łoporządzi sie jo i bedziecie se mieć swojo klitke.

— O, niech wom Pombóg do wszystko najlepsze za te wasze słowa! — rzekła z ulgą Brożkowa. Tak, tak, jo sie ta zmieszcze i tu w jizbie, poco wom se koszt zakładać i robić cosi koło kumory? Zbierzemy se razem z tego mojego kawołecka, jo wszystkiego sama nie spożytkuje, bedzie i dlo wos. Żebyście wiedzieli, jako tam piekno pszenica, jakie żyto, a zimioki, a kapusta!... Samabym nie dała rady ani wyrżnąć, ani wykopać, a tak — zrobicie wy — to wydoli dlo nos wszystkich.

— A wiela tam bedzie tego grontu? — zaciekawił się Drążek.

— Ano niby jo swojego miałam cosik więcy niż pół morgi i po nieboszczyku łostało z pół morgi. Gront równy jak stół, na gorecce, do słońca. Mówie



Opowiadała o swem opuszczeniu i o swem sieroctwie...

wom, jakie tam urody, tobyście sie zdziwili. Hej, hej! — mocny Boże! — wszystko to miało być dlo Jadwisie!...

— Co-ta bedziecie wspominać nieboszczke! — zagadywała Drążkowa w obawie, że siostra znowu zacznie płakać. — Ji tam teroz lepi niż wom. O, musiałaby sie tu napracować ciężko i tyla, a tak, to se zażywo niebieski dobroci. Lepi pomyślmy o spaniu. Stary, przynieś-no słomy! Trza rozścielić na jizbie, to se siostra lęgno. Na dzisioj tak musi wydolić, a kiedyindzi...

— A to jo mom przecie łóżko w chałupie, to sie jutro przywiezie.

— Pewnie, że trza bedzie tak zrobić.

Drążek przyniósł wiązkę słomy i rozścielił ją na izbie. Drążkowa zasłała ją zgrzebną płachtą, położyła na tem poduszkę i zaczęła się oglądać za jakiem przykryciem.

— Jo sie przykryje mojom chustkom — rzecze Brożkowa. — Mom w ni trochę łachów, to je schowocie dzie, a...

— O widzicie, tak bedzie najlepi. Dejcie-no te łachy, to je wyniese do kumory.

— Cekajcie-no, siostro, przypomniało sie mi — zwróciła się do obydwojga — że mam piniądze. Sprzedałam krowe i mom tu te grajcary przy sobie. Przyniesłam je, żebyśmy mieli na spólne potrzeby. Jo wom je dom, to schowocie dzie.

Sięgnęła ręką za koszulę i wyjęła niewielkie zawiniątko.

— Ale! Schowojcie se — ozwała się Drążkowa — my waszych piniędzy nie chcemy. Jak bedzie trza na co w chałupie, to wtedy docie. Cy na sól, cy na łodrobine łomasty, ale tak, to se trzymojcie sami. Dzieby my znów śmieli brać łod wos?

Drążek milczał. Brożkowa jednak nalegała dotąd, aż wreszcie wziął Drążek te pieniądze i schował koło siebie. Zaraz też pokładli się spać.

— — — — — — — — — — — — —

Brożkowa ulękła i modliła się długo. Najpierw za dusze swoich drogich zmarłych, potem „za wszystkie dusecki, cierpiące w ogniu cyśćcowem", a wreszcie dziękowała Bogu, że ją opatrzył Swą Łaską Przenajświętszą i nie zostawił na pastwę srogiego losu. Leżąc na posłaniu, szeptała jeszcze nabożnie „Zdrowaśki".

Tamci już dawno chrapali. Ona jednak nie mogła zasnąć. Przesuwały się jej przed oczyma obrazy z Siedlisk. Przez zamknięte powieki widziała swój dom, stojący na wzgórzu pod lasem, ludzi, którzy zwozili drzewo, te opromienione blaskiem słońca łany chlebnych zbóż i to kopulaste, a niedosięgłe, lazurowe niebo, przypomniał się jej ranny śpiew skowronka i ten szum boru i zapach macierzanki, porastającej miedzę. — Potem wspomniała sobie, jak ciężko jej było żyć samej, jak prosiła Boga o rychłą śmierć. — Nadleciało wspomnienie pogrzebu męża i konania Jadwisi... To znów zwróciła się myślami ku dzisiejszym wypadkom. Przemknęło jej przez głowę to jej przybycie do Drążków i ta obawa, że może po darmo tu szła i to ich dobre serce. — Wreszcie przypomniały się jej dawne, szczęśliwe lata. Stanęła jej, jak żywa, przed oczami — Jadwisia, kiedy była jeszcze małem dzieckiem, taką kilkoletnią, niewielką dziewczynką. W różowej sukience w kwiatki, o jasnych, niby len, włosach, w które miała wplecioną niebieską wstążeczkę (z odpustu ją przyniosła ona, Brożkowa) i ciemnych fiołkowych, ledwie nie pachnących oczach. Pamięta ją doskonale. — Lecz pamięta ją także, leżącą w trumnie... W białym była stroju, sama biała jak opłatek. Nie zapomni tego nigdy, jak dniem i nocą, niby pies, warowała przy jej truchełce i wpatrywała się w martwą, ukochaną twarz. Te parę dni, spędzonych w prochu u jej śmiertelnego wezgłowia tak się jej wryły w pamięć, że chyba je tylko śmierć zatrzeć zdoła.

Długo jeszcze nawiedzały ją wspomnienia to te najmilsze, przetykane złotemi nitkami radości, to znów te przepojone żałością, goryczą i bólem. — Zasnęła wreszcie gdzieś nad ranem.

Sen miała niespokojny. Zwidywały się jej jakieś potwory groźne, które godziły na jej życie, a którym ledwie zdołało się wyrwać, to korowody jędz obrzydłych, to znów gromady roześmianych, rozbawionych ludzi, które przeciągały koło jej chaty w tanecznych podrygach i skinieniem ręki zapraszały ją do siebie. Wyszła więc przed próg i pyta:

— A dzie wy to, ludzie, idziecie?

Na to odpowiada jej ktoś:

— Dziś jeden król bogaty i potężny wydaje wielką ucztę, bo mu żona powiła syna. Chodź i ty z nami, będziemy się weselić.

— Nie pójdę. Mnie córka umarła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wśród ciszy pól...



Lubię kroczyć wśród ciszy, powstałej na wiosnę,
Gdy łanami porusza wietrzyk rozsmętniony
I gna falami kłosy, słońcem rozpieszczony. —
— O tak z niemi poszumieć — to aż sercem rosnę
Wśród ciszy pól...
Lubię szeptać pacierze łanów rozmodlonych,
Co wśród szumu pokory chylą swoje głosy;
Lubię ogarnąć sercem kłosów płaszczyk płowy
I zanurzyć się cały w makach rozpalonych
Wśród ciszy pól...
Lubię poigrać z myślą pośród rosy rannej,
Kiedy obsypie kwiaty swemi brylantami
I ozdobi poranek srebrnemi perłami. —
O jak błogo w tej chwili myśleć o kochanej
Wśród ciszy pól...
Lubię w skwarne południe obcować sam z sobą
I zrywać rozkochane nasze polskie kwiaty,
Co mają tak przepiękne — tak królewskie szaty.
— O ukochana, teraz ja tęsknię za Tobą
Wśród ciszy pól...

Józef Sroga.

Potęga modlitwy.

Słońce śmiało się do ziemi całą potęgą swego czarującego uśmiechu. Cieszyło się słoneczko, widząc te setki tysięcy ludu katolickiego spieszącego z nabożnem skupieniem do świątyń Pańskich.

Była to właśnie niedziela. Wszystko było w normalnym stanie; jedna tylko maleńka wioseczka była trochę smutniejszą i cichszą od innych. — Dlaczego? Dlatego, gdyż jej granice przekroczył anioł pomoru.

Kroczył przez wioskę z obnażonym mieczem, tnąc w prawo i w lewo bez litości. Padali ludzie, jak muchy pod razami miecza niebieskiego wysłannika śmierci. Ciął głuchy na jęki nieszczęsnych i błagania o litość. Tu zabrał córkę jedynaczkę, zostawiając rodziców i narzeczonego w rozpaczy. Tam znowu rozdzielił młode małżeństwo. Gdzie tylko przeszedł, zostawił po sobie smutek, ból i rozpacz. Już miał prawie że na ukończeniu swą pracę morderczą, tylko miał jeszcze wstąpić, idąc z powrotem, po jedną wdowę, która już, już dogorywała.

Z wieży kościoła owej wioski ozwały się dzwony na podniesienie, wydając ze siebie tony smutne, głuche, łkające. W małej izdebce przyległej tuż do kuchenki, było tak cichutko, jakby nikogo w niej nie było, a jednak dwie w niej się znajdowały istoty. — Jedna z nich młoda, mogąca liczyć lat ośmnaście, siedziała u wezgłowia chorej, której wieku niepodobna określić, gdyż jej twarz była do tego stopnia zniszczona przez chorobę, iż żadnego życia na niej znać nie było. Leżała bezwładnie na łożu zimna z przymkniętemi oczyma, prawie że już całkiem skostniała. Gdyby nie lekkie bicie serca, rzekłbyś: W tym ciele już iskierki życia niema.

Przy tych żywych zwłokach siedziała dziewczyna, to jej córka. Siedziała bez ruchu, wpatrzona w nieruchome ciało ukochanej mateńki. Jej szlachetnie piękna twarz nosiła na sobie piętno nieprzespanych nocy. Jej nieskalanie błękitne oczka nie były w stanie dojrzeć, gdyż przysłonięte były dwoma dużemi łzami. Położyła swą rękę na skroń mateczki, lecz ta już zimna była. Chwyciła ją za rękę i ta już zimna i stężała była. Cofnęła z pośpiechem swą rękę od strasznej rzeczywistości. Podniosła powoli swą jasną główkę w stronę obrazu, wiszącego nad łóżkiem chorej, który wyobrażał Matkę Najświętszą z Dzieciątkiem Jezus na ręku. Do niego podniosła swą duszę i całą potęgą jej szlachetności błagać zaczęła:

— Matko Najświętsza, błagam Cię, uproś u Twego Dziecięcia tę jedną łaskę, aby nie zabierał mi tego, co mi jest najdroższem i jedynem na świecie. Uproś u Niego dla mej mateńki jeszcze choć parę lat życia. Ją jedyną na świecie posiadam z pośród ludzi bliską sercu memu i teraz miałabym się z nią pożegnać, rozłączyć na wieki? Miałabym w tak młodym wieku postradać opiekę macierzyńską. Cóżbym poczęła bez niej na tym szerokim świecie, kiedy dotychczas była dla mnie ostoją, z której czerpałam wskazówki na dalsze życie. Z jej śmiercią zmuszona bym była na powolną i okrutną śmierć w zmaganiu się z losem. — Jak w niej życia nie stanie, to i ja żyć przestanę dla świata. Ja wiem, o Panie, że Ty nie dopuścisz do tego, aby Twe dziecię na zagładę skazane było. O Matko przypomnij Mu ową obietnicę, daną przed laty: „Proście, a otrzymacie!“ Ty widzisz, jak szczerą jest moja prośba. O Boskie Dziecię, nie odrzuć mej prośby.

Płynęła więc ta prosta, szczera modlitwa wiejskiego dziewczęcia do stóp Najwyższego, który snać nie odrzucił jej od siebie.

Chora leżała na łóżku bez ruchu, wogóle ktoby choć trochę uważniej jej się przyjrzał, ujrzałby, iż oddech chorej staje się coraz słabszy, a nawet, iż wogóle nie oddycha, ale to była właśnie ta chwila przełomowa. Od tej chwili zależało życie tej kobiety. Jakby to życie ulecieć mogło bez żalu z tego ciała, gdy przy nim był tak śliczny i szlachetny anioł stróż. — Aniołem tym była jej córka, jak różyczka piękna. — Błagała Matkę Najświętszą o pomoc w tak okropnej chwili. Siedziała, jak posąg z białego marmuru, nieruchoma. Po jej bladych od niewyspania policzkach staczały się raz po raz duże łzy, czystsze od wody źródlanej, szlachetniejsze od szlachetnych brylantów. Nagle coś jak gdyby chora drgnęła, później podniosła powieki i wzrok jej słaby padł na zastygłą w bezruchu postać córeczki.

Z taką czułością matkom tylko właściwą patrzała na nią, aż dojrzała na jej policzkach wybladłych dwie duże łzy przeczyste. Wytężyła wzrok i szepnęła:

— Zosieńko!

Ale Zosieńka nie słyszała, gdyż zanadto skupioną była w żarliwej modlitwie, by módz uwagę zwracać na otoczenie. Dopiero powtórne wołanie chorej wyrwało z zadumy dziewczynę.

— Co mateczko — szepnęła drżącym głosem, myśląc, iż znów zacznie mówi o tej nieszczęsnej śmierci.

Przez chwilę zapanowało w izbie milczenie, które dla biednej dziewczyny było okropną torturą, aż wreszcie matka zaczerpnęła więcej powietrza i szepnęła słabym łagodnym głosem:

— Zosieńko droga! Ty płaczesz?

— Nie, mateńko kochana. Ja nie płakałam, tylko Matkę Najświętszą o zdrowie dla ciebie błagałam. — I przyrzekła mi Matka Boża, że uprosi dla ciebie nić życia u Swego Syna. Ciesz się kochana mateczko, bo niejeden roczek razem jeszcze spędzimy.

Po tych słowach chora podniosła się w łóżku, ujęła w słabe dłonie główkę swej jedynaczki i złożyła na jej bieluchnem czole pocałunek macierzyński. I byłaby może bez opamiętania pieściła pocałunkami to szlachetne młode czoło, gdyby nie przytomność Zosieńki, która widząc tak nagłe potęgowanie się sił, rzekła:

— Połóż się kochahna mateczko, boby do grobu zbytnia radość wepchnąć cię mogła. Połóż się; może przyjdzie sen dobroczynny i podwoi twe siły a potem, potem mateńko... i przytuliła się do niej i jeszcze czulej uścisnęła, na miękkiej składając pościeli.

I rzeczywiście zamknął jej powieki sen pokrzepiający. Policzki chorej zaczęły coraz to bardziej różowieć, oddech stawał się coraz bardziej miarowym. Zdrowie wymodlone u Matki Najświętszej poczęło jej wracać. Zosieńka natomiast znów w żarliwej pogrążyła się modlitwie, zanosząc hymny dziękczynne przed tron Najwyższego.

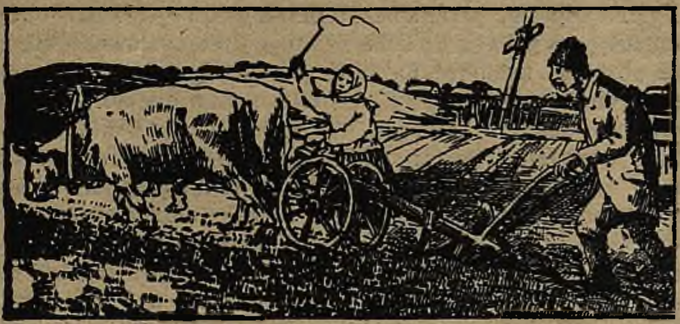
Już za kilka dni po owej krytycznej chwili wyzdrowiała do tego stopnia, że o własnej sile wstawała z łóżka coraz częściej, aż je zupełnie opuściła. A jakiemi słowami kojono przedtem zbolałe serce dziewczyny?

— No, już mamusia tym razem nie wyjdzie z tego, pogódź się z losem; a postronnie szeptano sobie nawet: do trumny ją włożyć, to trup gotowy.

— Jest ktoś potężniejszy od was — mówiła Zosieńka — i do niego też udała się o pomoc i czy się zawiodła? Nie! Bo chociaż ludzie jej mamusię umar-

łą zrobili, to jednak Bóg nie odrzucił jej prośby. On panem życia i śmierci.

O! jak miłe będzie teraz wspólne szczęście, a będzie ono trwać długo, gdyż już jej mamusię raz umarłą zrobiono. *Kazimierz Żurek.*



Poradnik gospodarczy.

Przypomnienia pszczelarskie na wrzesień.

Jak to już zaznaczyliśmy w jednym z numerów „Roli", rok bieżący był dla pszczół bardzo niepomyślny. Wprawdzie pomimo spóźnionej wiosny w maju miały dość pożytku na kwiatach, wskutek czego rozmnożyły się niezgorzej, ale czerwiec i lipiec nie dopisały. Napozór zdawało się, że będzie przeciwnie, gdyż pogoda była piękna, ale nocy chłodne nie dozwalały kwiatom na wydzielanie miodu w większej ilości. To też po głównym pożytku okazało się, że pszczołom nietylko nic wziąć nie można, ale jeszcze trzeba im dodać, aby mogły przetrwać do wiosny. Kto wziął im choćby trochę miodu, musi im dać większą ilość cukru.

Podkarmianie pszczół na zimę powinno być dokonane najpóźniej do końca września, a więc kto tego jeszcze nie uczynił, niech się pospieszy, aby nie było zapóźno.

Jak wiadomo, pień o średniej sile powinien mieć na zimę, t. j. od 1 października do 1 kwietnia 10—12 kg. miodu. Jeżeli tej ilości nie posiada, gotów paść w ciągu zimy i narazić pasiecznika na dużą stratę. Lepiej zawsze dać zadużo, aniżeli zamało, gdyż dany pszczołom pokarm nie pójdzie na marne, ale owszem pszczółki, mając w ulu poddostatkiem żywności będą się na wiosnę szybciej rozwijały.

Na zimę podkarmiać należy pszczoły gęstym syropem; co najwyżej na 1 kg. cukru można dać 1 litr wody, licząc na to, że pewna ilość wody w gotowaniu wyparuje. Syrop nieco letni należy podawać pszczołom wieczorem, aby go mogły znieść do plastrów w ciągu nocy. Podawanie w dzień może sprowadzić rabunek, a więc niepotrzebne zniszczenie nawet nie jednego roju, ale czasem i całej pasieki.

Podkarmianie można dokonywać w trojaki sposób, albo więc zapomocą specjalnych podkarmiaczek, albo nalewając syropu do zwykłego naczynia, dodawszy na wierzch grubej sieczki, aby się pszczoły nie topiły, albo wreszcie nalewając syropu do ramek i wstawiając do ula za deskę odgrodową.

Teraz należy już pszczoły trzymać dość ciepło, aby mogły poddany im syrop zasklepić. Ile dać syropu któremu pniowi, o tem powinien wiedzieć sam pasiecznik. O ile badał swoją pasiekę, to wie, ile tam jest miodu i ile trzeba dodać syropu, aby razem nie było mniej niż 10—12 kg. Kto pni nie badał, a teraz już tego nie będzie mógł dokonać, niech da 10 litrów gęstego syropu, a on mu tam w ulu nie zginie. Może być bowiem, że w niejednym ulu niema ani pół kilograma miodu. Znamy wypadki, że w pierwszych dniach września pszczoły z głodu popadały. Sam mam jeden pień, który od 5 b. m. trzymam na cukrze, gdyż inaczej byłby już padł stanowczo. A żal mi go było, gdyż byłby padł nie z własnej winy. Zabrakło mu miodu dlatego, gdyż miał młodą tegoroczną matkę, która czerwiła znakomicie. Na wychowanie młodych pszczoły zużyły wszystkie zapasy, nie pozostawiając sobie nic na zimę. Obecnie obsiadają 12 ramek na czarno i w przyszłym roku może być z nich pociecha.

W jesieni, a szczególniej w czasie podkarmiania pszczoły są nadzwyczaj skłonne do rabunku. To też należy wyloty zwęzić tak dalece, aby mogła przez nie przechodzić jedna, a najwyżej dwie pszczoły. Jeżeli wyloty są większe, to do uli dostają się rabusie, a choćby nawet ula nie zrabowały, to przecież wśród wzajemnej walki padają po jednej i drugiej stronie liczne ofiary.

A jeszcze jedno. Przy podkarmianiu należy wystrzegać się rozlewania syropu w pasiece, lub walania nim uli, gdyż każda słodycz ściąga pszczoły ku sobie, a łatwa zdobycz zachęca je do ataku na znajdujące się w pasiece pnie i uczy rabunku.

Tani sposób tuczenia gęsi.

Najpowszechniejszym gatunkiem gęsi są t. zw. „gęsi ścierniskowe". Przez wyrażenie to rozumiemy gęsi lekko podtuczone na pastwiskach i ścierniskach i w tej formie oddawane handlarzom, którzy za taki towar dają niskie ceny ze względu na konieczność dodatkowego podtuczania w t. zw. pasiarniach gęsich.

W celu osiągnięcia wyższej ceny, szczególnie w okolicach podmiejskich, gdzie rolnik ma okazję oddania towaru wprost w ręce spożywcy, znacznie lepiej kalkuluje się tuczenie do osiągnięcia pełnej wagi. Z różnych sposobów tuczenia gęsi pragnę opisać tu jeden, który z pełnem powodzeniem da się niemal w każdem gospodarstwie stosować bez wielkich wkładów.

Zabierając się do tuczenia gęsi sposobem niżej opisanym, gromadzimy gęsi w gęsiarni, a więc najczęściej w szopie lub części stajni. Podłogę przykrywamy końskim nawozem, a potem słomą, którą, rzecz oczywista, od czasu do czasu usuwamy, z chwilą, gdy ściółka sięga za wysoko.

Samo tuczenie dzielimy na okres przygotowawczy i okres tuczu właściwego. W pierwszym okresie, który trwa przez 2—3 tygodnie, podajemy gęsiom w dostatecznej ilości liście kapuściane, obierzyny z ziemniaków i buraków pastewnych i t. p. W okresie tuczu właściwego, który trwa również do 3 tygodni, stosujemy karmienie przymusowe. W tym celu z tartych surowych ziemniaków napół pomieszanych z miałko zmieloną mąką jęczmienną sporządza się kluski wielkości małego palca. Kluski te wysuszone zadaje się, zwilżywszy je w wodzie, co 3 godziny, od 6 klusek, jak też ilość mąki. Np. u gęsiorów pod koniec tuczu, a więc w trzecim tygodniu, dochodzimy do 30 sztuk klusek na jedno karmienie. Roboty jest przy tem tuczeniu sporo, ale trudy są sowicie wynagrodzone pierwszorzędnym gatunkiem mięsa oraz oszczędnością przy skarmianiu.

Wadą tego sposobu tuczu, który w praktyce dał pierwszorzędne rezultaty, bywa skłonność do rzadkich odchodów, szczególnie w pierwszym okresie tuczu. Zaradzić temu można łatwo przez podanie gęsiom lekkiego odwaru z mięty i piołunu.

Dr K. W.

KRONIKA.

Powszechny spis ludności. W dniu 9 grudnia b. r. odbędzie się ogólny spis ludności w całej Polsce. Spis ten będzie miał zakres węższy, aniżeli spis z r. 1921, nie obejmuje bowiem gospodarstw rolnych, leśnych, ogrodniczych, a ograniczy się jedynie do spisu ludności, mieszkań i budynków.

Sądy doraźne w Polsce. W ubiegłym tygodniu zostały zaprowadzone od dnia 10 b. m. sądy doraźne w całej Polsce Sądy doraźne będą zastosowane w stosunku do zbrodni, morderstw i zabójstw publicznych na osobach urzędowych i prywatnych, do przestępstw zaboru cudzego mienia zapomocą gwałtu i rozboju, wymuszania dokonanego przy użyciu broni lub przez bandę do rozmyślnego uszkodzenia środków komunikacji, do zbrodni zdrady stanu i szpiegostwa, do urządzania i udziału w rozruchach, wyroku, nabycia i przechowywania lub zbytu substancyj wybuchowych lub przyrządów wybuchowych, znalezionych, do popełniania zbrodni oraz do udziału w bandach utworzonych w celu dokonywania powyższych przestępstw. Zaznaczyć należy, że sądy doraźne skazują zamiast na karę ciężkiego więzienia na karę śmierci, zaś zamiast na inne mniejsze kary na karę ciężkiego więzienia na 10—15 lat. Zaprowadzenie sądów doraźnych ma na celu zapobiegnięcie coraz bardziej rozwielmożniającej się zbrodniczości w Polsce. Rozporządzenie to ludzie spokojni przyjmą z zadowoleniem, zbrodniarze natomiast z wielkiem oburzeniem.

Afera poborowa w Strzyżowie. Władze policyjne wraz z wojskowemi zajmują się obecnie wielką aferą poborową, którą wykryto w Strzyżowie. Szereg młodych ludzi, obowiązanych do odbycia służby wojskowej, zdołało się uchylić od powinności, a to dzięki wstawiennictwu osób niepowołanych, czerpiących ze swoich interwencyj wielkie zyski pieniężne. Aferę ujawnił kapitan żandarmerji wojskowej Puhalicz, który wdrożył dochodzenia. Okazuje się, że wielu mężczyzn, uznanych za zdolnych do służby wojskowej, miało zgłosić się do szeregów w jednym z pułków w Złoczowie, czego jednak odnośni, obecnie ujawnieni poborowi nie uczynili. W związku z tą sprawą aresztowano w Strzyżowie szereg osób. Głównym aranżerem całego oszustwa był arasztowany Beitel.

Rabunkowe morderstwo. W Olszanicy, pow. tłumackiego, na gościńcu prowadzącym do Miłowania, w lesie został zamordowany o godz. 6 ej wieczorem wystrzałem karabinowym rzeźnik z Tłumacza Jakób Leopold, syn Judy, który powracał do domu ze Strychaniec. Denatowi zrabowano 40 zł. w gotówce wraz ze skórzanym portfelem, w którym znajdował się ponadto dowód osobisty, wystawiony przez Urząd miejski w Tłumaczu, oraz karta powołania do wojska, wystawiona przez P. K. U. Buczacz na nazwisko zamordowanego, pozatem zrabowano mu zegarek niklowy „Roskopf".

Napad rabunkowy w Cisownicy. Na mieszkanie Kohutów w Cisownicy na Śląsku Cieszyńskim dokonano napadu rabunkowego. Steroryzowana Kohutowa, będąc sama w domu, wydała całą posiadaną gotówkę w kwocie 11 zł. napastnikom, ci jednak, nie zadowoliwszy się tem, zaczęli ją dusić i przypiekać jej stopy zapałkami. Następnie po splondrowaniu mieszkania zbiegli. Wszczęty natychmiast pościg doprowadził do ujęcia dwóch napastników, którymi okazali się dwaj bracia Wójcikowie z Ustronia.

Aresztowanie zawodowego bandyty. W Katowicach aresztowany został zawodowy bandyta Ignacy Grzybowski, który odsiadywał już karę 15 letniego więzienia. Zwolniony przed odbyciem całej kary, Grzybowski brał udział w szeregu kradzieży i napadów rabunkowych. Bandyta jest podejrzany o dokonanie kilku morderstw i rabunków, popełnionych w ostatnich czasach na terenie woj. kieleckiego.

Poszedł za głosem serca. W sferach przemysłowych Pabjanic, przedmieścia przemysłowego Łodzi, dużą sensację wywołał ślub syna znanego przemysłowca Grüna, ze służącą, zatrudnioną w domu przemysłowca. Przed pewnym czasem jedyny syn Grüna oświadczył ojcu, że pragnie poślubić służącą. W rodzinie wybuchła awantura i rodzice postanowili oczywiście nie dopuścić do tego małżeństwa. Jednak mimo to Grün poślubił swoją narzeczoną. Na tem tle doszło w rodzinie do wielkiego skandalu, który będzie miał dla młodego Grüna następstwa natury majątkowej, gdyż teraz nie otrzyma nic od swych bogatych rodziców. A mimo to może być szczęśliwszy, aniżeli gdyby się był ożenił z jaką bogatą „magnifiką". Bo miłość cuda działa.

Ostatnia wola żebraka. W okolicy Sieradza od szeregu lat znany był żebrak, którego ludność okoliczna nazywała „Głupim Władziem". Żebrak ten ulepił sobie rodzaj szałasu w lesie pod Błaszkami i tam spędzał czas wolny od włóczęgostwa. Corocznie kilka razy obchodził cały teren województwa łódzkiego i poznańskiego, każdy odpust i t. d., zbierając skrzętnie datki. Przed kilku dniami „Głupi Władzio" zjawił się w ogrodzie szewca Stanisława Fijałkowskiego w Błaszkach, tam zasłabł i mimo natychmiastowej pomocy w 2 dni później zmarł. Przed śmiercią jednak Władzio wezwał swego ostatniego opiekuna na ziemi Fijałkowskiego i wyjawił mu swą przeszłość. Oto jeszcze w r. 1913 „Głupi Władzio", nazywający się rzeczywiście Władysławem Dębowskim, zamieszkiwał w Łodzi, gdzie prowadził tkalnię ręczną, żona zaś jego prowadziła handel towarami galanteryjnemi. Po śmierci żony w roku 1914, Dębowski zlikwidował swe interesy w Łodzi, potem w czasie wojny na spekulacjach stracił cały dobytek i wówczas jął się żebraniny, przyczem każdy zdobyty grosz ciułał skrzętnie, pragnąc kupić nowy majątek. Oszczędności składał w P. K. O. Manja oszczędzania doprowadziła wreszcie Dębowskiego do lekkiego zboczenia umysłowego. Otrzymanego grosza nie wydawał, choćby miał przymierać głodem. „Głupi Władzio" przekazał Fijałkowskiemu dla jego dzieci książeczkę oszczędnościową na P. K. O., w której złożona była na koncie suma 68.000 zł., prosząc jedynie, by wyprawiono mu uroczysty pogrzeb.

Parobek w płonącym stogu. Wieś Helenów, w powiecie łaskim, była terenem niezwykłego wypadku. Służący gospodarza Antoniego Grabika 24-letni Leon Pyrek zakochał się beznadziejnie w córce swego chlebodawcy 18-letniej Janinie. Dziewczyna początkowo przyjmowała umizgi służącego, później jednak, gdy tenże zaofiarował jej swe serce, dziewczyna poskarżyła się ojcu. Wieśniak zagroził służącemu, że go oddali, jeśli nie przestanie atakować Janiny. Ubiegłej niedzieli służący przyszedł do gospodarzy w towarzystwie dwóch swatów i oficjalnie poprosił o rękę dziewczyny. Spotkał się jednak z kategoryczną odmową. Porywczy chłopak wyciągnął rewolwer i skierowawszy go w swe usta, usiłował pozbawić się życia. W ostatniej chwili zdołano mu broń odebrać. Wieść o swatach parobka rozniosła się po całej wsi. Z Pyrka zaczęto się wyśmiewać. Nieszczęśliwy parobek wyszedł z domu, a w chwilę później stojący przy zagrodzie stóg siana zaczął się palić. Gdy Grabik wraz z rodziną wybiegł na podwórze, w płonącym stogu ujrzał swego parobka. Rzucono się na ratunek. Silnie poparzony parobek żył jeszcze. Zachodzi podejrzenie, iż Pyrek dostał pomieszania zmysłów.

Katastrofa samochodowa. Na terenie województwa łódzkiego wydarzyła się wstrząsająca katastrofa samochodowa, w wyniku której 16 osób odniosło lżejsze lub cięższe obrażenia. Mianowicie zarząd klubu sportowego Makkabi wyznaczył w Łodzi zjazd wszystkich drużyn klubowych okręgu łódzkiego. M. in. przyjechać miał klub z Sieradza, który wyruszył do Łodzi 2 autami ciężarowemi; jednem autem jechały kobiety, drugiem sami mężczyźni. Na szosie między Zduńską Wolą a Łaskiem z nieustalonej dotychczas przyczyny auto, którem jechały kobiety, niespodziewanie wywróciło się do góry kołami. Wszyscy jadący znaleźli się pod autem. Rannych przewieziono do Łodzi.

Tragiczna omyłka w ciemnościach. W restauracji przy stacji kolejowej w Zegrzu zebrał się pokaźny tłum rezerwistów, odbywających ćwiczenia w tych okolicach. W pewnej chwili między restauratorem a rezerwistami wybuchła sprzeczka, która zamieniła się w bójkę. W czasie bójki rezerwiści pogasili światło, zdemolowali zupełnie restaurację i zbiegli. Gdy zapanował już względny spokój — restaurator posłyszał, że do lokalu jego ktoś jeszcze się dobija, a wreszcie wchodzi. Sądząc, że to jeszcze rezerwiści, restaurator schował się za bufet i w ciemnościach strzelił 7 razy z browninga do wchodzących. Jak się później okazało, było to 3 mieszkańców wsi Rybaki, a mianowicie 3 bracia: Henryk, Bolesław i Jan Kaźmierczukowie. Wszyscy trzej odnieśli ciężkie rany. Pierwszy rany głowy, drugi brzucha, a trzeci nóg.

Bitwa przy pługach. Z Brześcia donoszą: Grunty wsi Smorock zostały przed niedawnym czasem skomasowane przez Urząd ziemski w Brześciu. W tych dniach na polach skomasowanych miały być dokonane pierwsze zasiewy. Przezorny sołtys wsi Smorocka, przewidując, że na tem tle może dojść między ludnością do zatargów, może nawet krwawych, zwrócił się do komendanta posterunku w Terebieżowie z żądaniem przysłania w dniu, w którym rozpoczęte zostaną prace w polu, kilku policjantów. Przewidywania sołtysa niebawem się sprawdziły. Oto kiedy sześciu z włościan przystąpiło do orki na wyznaczonych im gruntach, tłum innych włościan, złożony ze 150 osób, uzbrojonych w drągi, zaatakował pracujących przy pługach. Gdyby nie obecność policji wymienieni rolnicy, być może, nie uszliby z życiem, przytomny jednak komendant posterunku najsampierw wezwał tłum do rozejścia się, a kiedy wezwanie nie poskutkowało, oddany został strzał ostrzegawczy w górę, który powstrzymał rozjuszonych włościan od gwałtu. Tłum ustąpił jednak całkowicie dopiero wtedy, gdy orka została zaniechana. Z powyższego zdarzenia wynika, że niektórzy rolnicy nie mogą zrozumieć dobrodziejstw, jakie płyną ze skomasowania gruntów. A przecież jedną z najważniejszych korzyści jest ta, że grunta po skomasowaniu nie ciągną się długimi a wąskimi pasami, ale tworzą krótszą a szerszą powierzchnię, co ułatwia pracę rolnikowi. Wprawdzie czasem tam ktoś otrzyma gorsze pole, ale otrzyma go za to więcej, a gdyby nawet nie, to umniejszenie pracy wynagrodzi jakość pola.

Świeca wybawicielką. Z Wilna donoszą: Stanisław i Bronisław Hajrowscy ze wsi Puhanowce koło Nowego Dworu długo się opierali, wreszcie jednak ulegli namowom swego szwagra, który radził im zamordować ojca Stefana, a wówczas całe gospodarstwo przypadnie im w udziale. A że nie lubili zwlekać, więc zaraz po powzięciu decyzji Bronisław wziął świecę, Stanisław siekierę i poszli do stodoły, gdzie spał ich ojciec. Weszli pocichu, znaleźli śpiącego i już Stanisław zamachnął się siekierą — gdy wtem świeca w ręku Bronisława zgasła i stary ojciec zamiast w głowę, otrzymał cios w rękę i stracił dłoń. Nagle uderzenie i ból obudziły starego. Poderwał się z legowiska i natychmiast zorjentował się w sytuacji. W kilku susach dopadł drzwi stodoły i zamknął je za sobą na skobel, poczem zaczął wołać o pomoc, machając okrwawionym kikutem. Pomoc zjawiła się prędko. Ze wszystkich stron sypnęli się sąsiedzi z widłami, cepami, toporami, kłonicami i z czem kto miał. Otoczono ze wszystkich stron stodołę i powoli ostrożnie otwarto wierzeje. Jakże straszne zdziwienie ogarnęło wszystkich, gdy zobaczyli, że właśni synowie dybali na życie ojca! Bracia z początku wypierali się winy, gdy jednak znaleziono i pokazano im okrwawioną siekierę, do wszystkiego się przyznali. Policja osadziła ojcobójców w więzieniu.

Z brzytwą na matkę. Z Andrzejewa koło Białegostoku donoszą o strasznej tragedji rodzinnej. Oto umysłowo chory Józef Horoszucha dostał nagle ataku, a chwyciwszy brzytwę, rzucił się z nią na matkę swoją Janinę, przewrócił ją na podłogę i poderżnął jej gardło. Po dokonaniu tego wstrząsającego czynu Horoszucha zbiegł do lasu i ukrył się na jednem z drzew. Obłąkanego znaleziono i siłą ściągnięto z drzewa. Horoszuchową w stanie beznadziejnym przewieziono de szpitala.

Napad rabunkowy w pociągu. Pasażerowie pociągu pospiesznego, zdążającego do Poznania, byli świadkami niesłychanego napadu rabunkowego. Na przestrzeni między Tarnowskiemi Górami na Śląsku a Herbami Nowemi, robotnik kolejowy Roman Plewa, pochodzący z Ostrowa pod Poznaniem, zakradł się do przedziału kolejowego, w którym spał urzędnik kolejowy z Poznania, Tokacz, i sztabą żelazną zdjętą z wagonu kolejowego, uderzył śpiącego w głowę. Tokacz, który stracił przytomność tylko na krótką chwilę, rzucił się na napastnika, wzywając zarazem pomocy. W chwili, gdy pierwsi pasażerowie ukazali się w drzwiach przedziału, Plewa rozbił okno i wyskoczył z pędzącego pociągu. Zawiadomiona o tym napadzie policja natychmiast wszczęła poszukiwania i znalazła Plewę ciężko rannego na torze. Przewieziony do szpitala w Tarnowskich Górach Plewa, przesłuchany przez policję, przyznał się do winy i zeznał, że jechał właśnie na swój ślub i chcąc zdobyć pieniądze, postanowił dokonać rabunku.

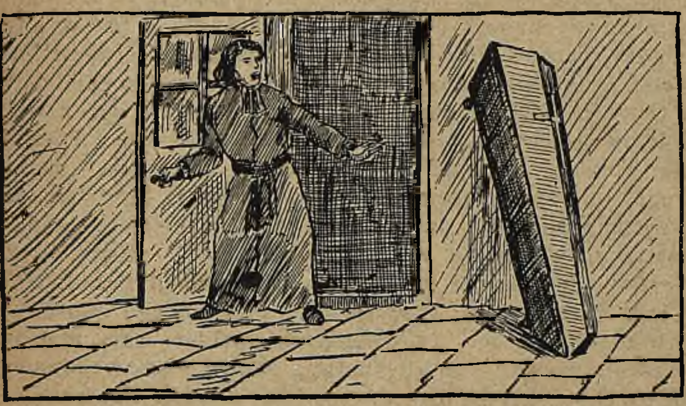
Tron Wilhelma II dla katedry gnieźnieńskiej Z okazji odsłonięcia pomnika Bolesława Chrobrego w Gnieźnie p. Prezydent Rzplitej ofiarował katedrze gnieźnieńskiej do dyspozycji ks. prymasa, tron Wilhelma II, pozostały w Zamku poznańskim. Wspomniany zabytek historyczny umieszczono chwilowo w starym kapitularzu. Tron, który zdobił kiedyś salę reprerentacyjną Zamku poznańskiego, zbudowany jest z białego marmuru karraryjskiego w stylu bizantyjsko-romańskim i waży około 90 cetnarów.

Zamach na Stalina. Do Warszawy nadeszły wiadomości o nowym zamachu na Stalina, który jest przewodniczącym Rady komisarzy ludowych, czyli rządu bolszewickiego w Rosji. Sprawcą zamachu jest jeden z członków straży przybocznej, pełniący w krytycznej chwili służbę na Kremlu. Sprawca jest Gruzinem i nazywa się Saunikidze. Gruzin w czasie pełnienia dyżuru na korytarzu wtargnął nagle do gabinetu Stalina, oddając doń dwa strzały. Stalin momentalnie zorjentował się w sytuacji i w chwili, gdy zamachowiec repetował rewolwer, upadł na ziemię, unikając tem samem niechybnej śmierci. Sprawca zamachu, sądząc w zdenerwowaniu, że zabił Stalina, sam na miejscu popełnił samobójstwo.

Epidemja tyfusu plamistego w Rosji. Z Moskwy donoszą o strasznej epidemji tyfusu plamistego, jaka wybuchła na północy Rosji. Epidemja szerzy się z zastraszającą szybkością i szczególnie liczne ofiary pochłania wśród przebywających na robotach przymu-

sowych w okręgu archangielskim robotników leśnych. Niektóre baraki podobne są do trupiarni. Na barłogach leżą razem martwi i chorzy, opuszczeni przez swych dozorców, którzy w obawie przed straszną chorobą zbiegli. Celem uniknięcia śmierci i zarażenia się zbierają się w grupy i ratują się ucieczką. Strażnicy GPU bezlitośnie każdego uciekającego mordują. Kilka grup robotników zostało postrzelonych. Codziennie wskutek epidemji ubywa zgórą po 100 robotników. Epidemja dotarła już i do samego Archangielska i grasuje zarówno wśród robotników portowych, jak i marynarzy okrętów cudzoziemskich, ładujących zboże. Straszne jest również położenie więźniów na wyspach Solowieckich, gdzie tyfus również grasuje. Dozorcy pędzą chorych do pracy, przy której wielu z nich pada trupem. Kto nie może pracować i pada nieprzytomny, tego dobijają bagnetem.

Kłopot z nieboszczykiem. Do pewnej wioski koło Czerniowiec na Bukowinie przybył żebrak, Niemiec, który zamieszkał u jednego z tamtejszych gospodarzy, niejakiego Wolffa. Po kilku dniach żebrak rozchorował się i umarł. Gospodarz poszedł do urzędu gminnego i prosił, aby zajęto się pogrzebem. Ponieważ zmarły Niemiec był ewangielikiem robiono trudności i ociągano się.



Wolf w tej sprawie udał się do miejscowego proboszcza, ale ten też w tej sprawie pomódz nie mógł. Wreszcie Wolf udał się do pastora w odległej o kilka kilometrów niemieckiej osadzie. I tu spotkał go zawód. Po naradzie z żoną Wolf kupił trumnę, włożył do niej nieboszczyka, zawiózł w nocy do niemieckiej osady i zostawił przed drzwiami pastora. Pastor, zobaczywszy nad ranem przy drzwiach trumnę z nieboszczykiem, przeląkł się i rozchorował. Niemniej jednak zwłoki pochował. Wolfowi jednak wytoczono proces.

Klub rozwiedzionych. Z inicjatywy pewnej rozwiedzionej od 10 lat damy, należącej do najlepszego towarzystwa w Budapeszcie, założono w tych dniach w stolicy Węgier Klub rozwiedzionych. Pierwsze zgromadzenie przyniosło niemałe rozczarowanie, gdyż zjawiło się na niem tylko pięć kobiet i jeden mężczyzna. Pomimo tego towarzystwo ukonstytuowało się, powziąwszy postanowienie, że nie będzie dwóch osobnych klubów, dla pań i panów, lecz jeden wspólny dla obu płci. Zadaniem klubu będzie pomagać rozwiedzionym, zwłaszcza winnym rozbicja małżeństwa, w stworzeniu nowego ogniska rodzinnego, bardziej szczęśliwego, niż poprzednie.

Obłudna modlitwa łotrów. Dziwni to byli bandyci, którzy przed kilkoma dniami napadli na klasztor św. Mikołaja pod Spartą w Grecji. O godz. 9 ej wieczorem u wrót klasztoru stanęło 9 mężczyzn, prosząc o przytułek na noc. Nie podejrzewając niczego, furtjan otworzył bramę, a w tej chwili bandyci włożyli czarne maski i rzuciwszy się na braciszka, skrępowali go sznurami. Następnie wdarli się do klasztoru i powiązali sznurami wszystkich mnichów w celach. Gdy dotarli do celi przeora, zażądali od niego wskazania miejsca, gdzie są przechowywane kosztowności klasztorne. Przeor długi czas nie chciał ujawnić tajemnicy, gdy go jednak zaczęto przypiekać ogniem, wskazał wreszcie kryjówkę skarbów. Przed opuszczeniem klasztoru bandyci zanieśli przeora do kaplicy, gdzie usadowili go na ławce, potem pozapalali świece, uklękli przed ołtarzem i zaczęli się gorąco modlić, aby Bóg darował im napad na klasztor i steroryzowanie świątobliwych mężów. Wreszcie opuścili klasztor, uwolniwszy jednego z mnichów, aby ten mógł rozwiązać innych. Przeora trzeba było natychmiast przewieźć do szpitala, gdyż ma boki ciała poprostu spalone i całą głowę w ranach. Nad ranem dopiero zawiadomiono o napadzie żandarmerję, która rozpoczęła pościg w górach. Trzech bandytów schwytano, resztę otoczono, tak, że zupełnie uniemożliwiono im wydobycie się z matni i ujęcie ich jest tylko kwestją czasu. Wszystkim łotrom grozi kara śmierci.

Lotnik zjedzony przez ludożerców. Znany w Australji lotnik Trist, który dokonał wielu lotów naukowych nad rodzimym kontynentem, zginął niedawno podczas ostatniej swej wyprawy. Na pomoc wysłano ekspedycję ratunkową, która zapuściła się w głąb dziewiczych terenów Australji. Pod naporem dzikich plemion tubylczych musieli członkowie ekspedycji zawrócić, gdyż było ich zamało i nie mieli odpowiednich środków do walki z czarnymi. Ale stwierdzili, że Trist musiał z powodu jakiegoś defektu w swoim aparacie nagle wylądować i odniósł przytem ranę. W takim stanie napadli go i schwytali ludożercy, a następnie zawlekli do chaty wodza i tam zabili, a wreszcie zjedli.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

Zamach stanu w Austrji.

W niedzielę około godziny 2 nad ranem wybuchł w Austrji bunt Heimwehry (jest to organizacja wojskowa stronnictwa chrześcijańsko-socjalnego), przeciw prawowitemu rządowi. Bunt wybuchł w Styrji, a na jego czele stanął Dr Pfriemer, który ogłosił się naczelnikiem państwa i wydał nową konstytucję. — Bunt, jak się rozpoczął niespodziewanie, tak się też szybko zakończył. Władze wysłały natychmiast w okolice, gdzie gromadzili się rokoszanie, większe siły wojska celem stłumienia ruchawki. Rewolucjoniści, widząc, że są w mniejszości ustępowali przed wojskiem tak, że cała awantura skończyła się bez krwi rozlewu. Dr Pfriemer złożył wobec tego godność przewodniczącego Heimwehry, a do swych zwolenników wydał odezwę, aby zaniechali zbrojnych wystąpień. Wobec tego rewolucja skończyła się w ciągu jednego dnia.

Zamach komunistyczny na pociąg.

W niedzielę po północy wydarzyła się w odległości 40 kilometrów od Budapesztu koło Bia Torbagy straszna katastrofa kolejowa, której ofiarą padło 24 zabitych i kilkanaście osób rannych. Kiedy pociąg pospieszny Budapeszt—Kolonja wjeżdżał na wiadukt, nastąpiła eksplozja, która zniszczyła tor. Lokomotywa z sześciu wagonami spadła do doliny, głębokiej w tem miejscu na 30 metrów, ulegając zupełnemu rozbiciu. Reszta pociągu została na torze. Jak stwierdzono, na szynach kolejowych ułożono maszynę piekielną, która wybuchając, spowodowała katastrofę. Maszyna piekielna jest wyrobu niemieckiego, a podłożyli ją komuniści, co stwierdza pozostawiona na miejscu katastrofy. Wśród zabitych i rannych są Węgrzy, Francuzi, Anglicy, Belgowie i inni, gdyż pociąg ów był międzynarodowym.

RZECZY CIEKAWE.

Targ na owady.

Pewnego rodzaju osobliwością są doroczne targi owadami we Frankfurcie, urządzane zazwyczaj w sezonie letnim. Ściągają tu z całego świata amatorzy, kupcy i nabywcy, wśród których nie brak uczonych wszechświatowej sławy, królów mody, szukających w świecie owadzim nowych tematów łączenia barw, wreszcie kolekcjonerów, których majątki oceniane są nierzadko na miljony dolarów.

Częstokroć zbiera się cały tłum dokoła szklanej klateczki, zawierającej rzadki okaz, i wystaje godzinami, z godziny na godzinę podbijając cenę jakiegoś niezwykłego motyla czy skarabeusza. By dać pojęcie o wysokości cen na niektóre gatunki motyli, wystarczy przytoczyć następujący fakt. Otóż w obecnym sezonie pani Sybil Chinery - Glenn, znana angielska kolekcjonerka owadów, kupiła 3 motyle brazylijskie za łączną sumę 890 funtów, podczas gdy sprzedawca kupił te same motyle przed tygodniem za 250 dolarów.

Kwiaty a muzyka.

Kwiaty, a w każdym razie niektóre gatunki kwiatów nie lubią muzyki.

Jeżeli chodzi o goździki i cyklameny — to jest to fakt stwierdzony i nie podlegający żadnym wątpliwościom.

Takie sensacyjne odkrycie zrobił ostatnio pewien angielski student-botanik.

Młody przyrodnik wysnuwa swoje wnioski na postawie długotrwałych obserwacyj nad wpływem muzyki na kwiaty.

Okazuje się, że niektóre najbardziej wrażliwe kwiaty pochylają swoje kielichy w kierunku przeciwległym do fali dźwiękowej.

Kwiaty zdobiące estrady koncertowe „cierpią" niekiedy bardzo silnie i odwracają się niechętnie od muzyki.

Szczególnie niemuzykalnym jest goździk, który w czasie trwania muzyki stara się jaknajbardziej oddalić od źródła dźwięku.

Badania nad wpływem muzyki na kwiaty znajdują się w stadjum początkowem, ale niewątpliwą rzeczą jest, że wszystkie kwiaty reagują na fale dźwiękowe.

Jeden z paryskich dziennikarzy, omawiając to odkrycie młodego angielskiego badacza, dowcipkuje na ten temat. Pisze on, że trzeba będzie badać, jaki rodzaj muzyki przypada do gustu kwiatom. Być może, iż nie uznają one muzyki jazzowej, a za to lubią Bacha i Beethovena.

Polowanie jeża na żmiję.

Nie wszystkim wiadomo, że tak dobrze znany nam jeż, oprócz zwykłego pożywienia, składającego się z owadów, żab, myszy i t. p. lubi niezmiernie pożerać żmije. Widok takiego polowania, z którego jeż zawsze wychodzi zwycięzcą, jest oczywiście niezmiernie rzadki. Z niezwykłą zręcznością nadstawia jeż kolce, broniąc się nimi przed jadowitemi ukąszeniami gadu, aż we właściwej chwili uda mu się chwycić żmiję zębami za tył głowy i przegryźć jej kręgosłup.

Wtedy pożera ją jako szczególny smakołyk, nie tykając oczywiście jadowitej głowy.

Byłoby więc wskazane, aby w okolicach, które cierpią na plagę żmij, starali się ludzie o rozplenienie jeżów.

Żmijożerne żmije.

W północnej Ameryce żyje niejadowita żmija metrowej długości, która — rzecz dziwna — żywi się innemi żmijami. Stworzenie to leży bez ruchu, zwinięte w kłębek, ukryte za kamieniem i czyha na łup, by skoczyć błyskawicznie i uchwycić inną przedstawicielkę jej własnego rodu za łeb. Po długiej walce zjada ją doszczętnie.

Osadnicy tolerują to niewinne zwierzę, gdyż doświadczenie okazało, że w pobliżu niego nie przebywają żmije jadowite.

Niektóre plemiona Indjan uważają tę żmiję za ucieleśnienie ich boga Manitou i darzą ją boską czcią.

Król włoski i siódemka.

Ktoś, kto miał widocznie wiele czasu, zadał sobie trudu, aby wykazać, w jakim związku znajdują się daty, odnoszące się do życia króla włoskiego a kabalistyczną cyfrą 7. — Imię króla Emanuela ma 7 liter. Imiona obu córek Yolandy i Mafaldy liczą również po 7 liter. Rodzina królewska składa się z 7 członków. Całe imię monarchy „Vittorio Emanuelo Terzo" zawiera 21 liter. Następca tronu urodził się w 1904 r. Obecny jubileusz panowania obchodzi się w r. 1925. Król urodził się 1869, którą to datę możemy podzielić przez 7 bez reszty. Król koronował się w miesiącu lipcu, który jest siódmym w roku.

Najmniejsza poczta na świecie.

Na drodze Magalhaes na pełnem morzu znajduje się urząd pocztowy pomiędzy kontynentem południowo-amerykańskim a Ziemią Ognistą, przymocowana zapomocą łańcucha do skały, pływa na falach jaskrawo pomalowana skrzynka. Przepływające okręty wysyłają łódź, by zabrać znajdujące się tam listy, względnie wrzucić swoje. Wszelkie listy zostają wysyłane dalej, gdyż najmniejszy ten urząd pocztowy znajduje się pod ochroną marynarzy całego świata.

Letni sen zwierząt.

W ostatnim numerze znakomitego czasopisma francuskiego „La Nature" czytamy, co następuje:

Jak u nas wiele zwierząt zapada podczas mrozów w sen zimowy, tak w okolicach tropikalnych chronią się niektóre zwierzęta przed zbytnim żarem, zapadając w sen letni. I tak pewne ssaki zwijają się w kłębak i w cienistej jakiejś kryjówce trwają w śnie głębokim przez czas największych upałów. Płazy zakopują się w głębokim, wilgotnym mule rzecznym, a robaki zagłębiają się w wilgotniejsze i dalsze pokłady ziemi. Nawet owady szukają jakichś chłodnych szczelin np. pod kamieniami czy pniami drzew, gdzie gromadzą się w znacznych ilościach, by przetrwać śmiercionośną epokę podzwrotnikowego upału. Ślimaki tamtejsze cofają się w głąb swych skorup i zachowują przez dłuższy czas bezwzględny ścią. A człowiek, żyjący w tamtych stronach, musi się w mule wodnym, gdy temperatura podnosi się znacznie i żyć w niej stale jest dla nich niemożliwością. A człowiek, żyjący w tamtych stronach musi się uginać przed twardemi prawami przyrody i z konieczności także ulegać czemuś w rodzaju „snu letniego". Życie bowiem w lecie ożywia się w stro-

nach tamtejszych tylko wczesnym rankiem lub późnym wieczorem. Podczas dnia, zwłaszcza około południa, nie widać pod gołem niebem prawie żywej duszy. Każdy kryje się, gdzie może i przesypia straszne godziny piekielnego żaru.

Kwiaty, ptaki i pszczoły na kolejach.

Podróżni cudzoziemscy dziwią się zazwyczaj, widząc kwitnące ogrody, parki i zieleńce dokoła dworców i przy domach kolejarzy, które w Szwecji buduje się wzdłuż linij kolejowych. Koleje państwowe są nietylko najzyskowniejszem przedsiębiorstwem w Szwecji, lecz również ogrodnikiem całego kraju. Każda stacja i każdy domek sygnalisty posiada swój ogród, założony kosztem państwa, a specjalni inspektorzy ogrodowi jeżdżą z miejsca na miejsce, sprawdzając, czy zieleńce utrzymane są w należytym porządku.

Administracja koleji państwowych sprawiła jednocześnie 12.000 budek dla ptaków. Wszystkie te budki porozmieszczane zostały na drzewach w zieleńcach kolejowych. Dr Granholm, naczelny dyrektor koleji państwowych, projektuje ponadto założenie specjalnych kursów „przysposobienia ptasiego" dla kolejarzy, obok kursów ogrodniczych, które już istnieją.

W projekcie są ponadto kursa pszczelarskie i budowa kilku tysięcy uli, któremi szwedzkie koleje państwowe obdarzyć chcą swych pracowników, pozostawiając całkowity zbiór miodu do ich osobistego użytku.

Tak jest w Szwecji, a u nas? U nas przy bardzo wielu szkołach brak jeszcze zupełnie pasiek, a zaledwie tu i ówdzie można je zobaczyć u budników kolejowych. Wprawdzie ministerstwo komunikacji zachęca do hodowli pszczół i przychodzi kolejarzom pod tym względem z pomocą, ale rezultaty są jeszcze dość małe. Gorzej jest już w szkolnictwie, a przecież nietylko przy każdej szkole powinna być pasieka, ale każda szkoła powinna być wzorem i rozsadnikiem pasiecznictwa. By tak było, nie powinien żaden nauczyciel, któryby się nie zobowiązań do założenia pasieki, otrzymać posady kierowniczej na wsi, jak również nie powinien otrzymać posady bez tego zobowiązania żaden budnik kolejowy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Marja Waller** w Rz.: Powieść otrzymałem i zacząłem czytać, pójdzie to jednak powoli, gdyż z powodu owego maczku wieczór czytanie jest niemożliwe. Za obietnicę dziękuję. Proszę bardzo o przysłanie swojej fotografji. — **Helena Latawcówna** w Z.: Nie zapomnieliśmy o Pani; przecież niedawno był wierszyk. — **Wojciech Lorenc** w Ł.: Wierszyk jeszcze za słaby do druku. — **Piotr Wenc** w S.: Skorzystamy. — **Jan Kapusta** w R.: Rękopisy zwracamy tylko te, któreśmy u kogoś zamówili. Prace dobre drukujemy, lub odkładamy do druku, prace zaś nienadające się do druku idą wprost do kosza. Gdybyśmy chcieli odsyłać wszystkie utwory, nienadające się do druku w „Roli" choćby nawet skądinąd dobre, musielibyśmy trzymać osobnego urzędnika do tej czynności. — **Michał Bogdan** w L.: Do druku trzeba koniecznie pisać atramentem, po jednej stronie papieru, bardzo czytelnie i dość dużemi literami, aby nie potrzeba było psuć niepotrzebnie oczu. — **Kasia Jasiowa** w L.: I cóż Maciusiowi po Kasi, kiedy ona już Jasiowa. A spółek Maciuś nie lubi. — **Karol Kopeć** w S.: Teraz nie warto pszczół kupować; po tak lichym roku mogą łatwo paść w zimie. Lepiej uczynić to na wiosnę, choćby znacznie drożej kosztowały. — **Krzyk Ignacy** w Ż.: Żądany Nr 19 mamy. Pod jakim adresem przesłać go Panu?

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pierwiastek chemiczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pierw. chemiczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Bogini grecka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę domowe wspak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pierwiastek chemiczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.

Litery wstawione w miejscach czarnych kwadracików dadzą nam rozwiązanie.

2. Szarada.

(Ułożył Wojciech Lorenc z Ł.).

Piarwsze słowo pożegnanie znaczy,
Pierwsze pół trzeciej nazwę artysty
Filmowego oznaczy;
Gdy kogoś nie znasz, a pytasz go o coś,
To mówisz do niego, proszę pierwszego
[czwartego,
Znów dwie z drugiej pół trzeciej roślinę
[macie,
Pierwszą pół drugą do opasania używacie,
Znów wspak czwarta, trzecia i czwarta,
To część radja znana, a całość
Ziemia żydom obiecana.

3. Kalambury.

(Józef Górecki z K.).

I.

Gdy na zędzie w literze mamy
No to z tego miasto otrzymamy.

II.

Spółgłoska imię żeńskie w jednym rzędzie
Coś pysznego z tego będzie.

III.

Spółgłoska no i ptak,
Napój zato będzie wspak.

4. Konikówka.

(Ułożył Piotr Tylec z K.).

c	z	a	i	i
d	w	k	i	m
d	i	d	e	c
y	a	z	m	a

Ruchem konika szachowego odczytać imię, nazwisko i utwór poety polskiego.

5. Zagadka.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

W jakim miesiącu kosi się siano?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 25 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru „Roli": 1. Logogryf: Górecki. 2. Szarady: I. Furażerka. II. Oparzenie. III. Niech żyje tygodnik „Rola!" Łamigłówki zoologiczne: I. Szprotka. II. Kałużnica. 4. Zagadka: Księżyc. Kwadrat magiczny: Olaf-luba-Abel-fala.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Piotr Wenc z S., Jan Wardzała z U., Wojciech Lorenc z Ł., Józef Górecki z K., Katarzyna Osmolina z H., Józef Cieplik z K., Leopold Wołek z Rz., Teofil Burman z K., Jan Gara z W., Irena Kaczorówna z S.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Wardzała z U i Katarzyna Osmolina z H.

Wydawca: **Feliks Kowalczyk.** Odpowiedzialny redaktor: **Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

To tylko przykład.

Policjant zdybał w nocy stróża, który na schodkach domu smacznie zasypiał.

— Czy to tak się pełni obowiązek? — krzyknął na niego.

— A tak — była odpowiedź — daję tym, co po nocach hulają, dobry przykład, jak mają spokojnie spać, a nie noce marnować!

Chłop u doktora.

Chłop: Panie doktorze, dziecko mi spadło ze stołu i okropnie się potłukło.

Doktór: A coście najpierw na to robili?

Chłop: Najprzód dałem swojej babie w pysk.

— Janie, a zdrowi tu u was w chałupie?

— Zdrowi, jeno czerwona krowa ciągle słabuje.

— Że też waszej familji zawdy się jakieś choróbska trzymają!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 15 września b. r.

Pszenica	22·50—23·00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	22·50—23·00	Ziemniaki stoł.	6·00—7·00
Owies . .	21·00—21·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	18·50—19·50		
Fasola biała	34·00—36·00	Mąka żytnia	38·00—38·50
Groch zwyk.	28·00—30·00	Mąka pszen.	44·00—45·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	14·00—14·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	14·00—14·50
Koniczpastew.	14·00—15·00	Mąka czerw.	17·00—18·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 15 września b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·95 do 1·06 zł.	Jałownik	od 0·90 do 1·02 zł.
Woły . .	od 1·03 do 1·12 zł.	Cielęta .	od 1·15 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·80 do 0·89 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·60 do 1·80 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·20 do 2.35

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.